ZADRUGA
pismo nacjonalistów polskich

ROK III NR. 6-7 (20-21) WARSZAWA, CZERWIEC-LIPIEC 1939 CENA 60 GR.

Próby zepchnięcia Sławii na zgubne tory

Lekceważone dotąd u nas kapitalne zagadnienie Słowiańszczyzny zaczyna powoli wychodzić na światło dzienne i wreszcie stawać się godnym uwagi. Zbędnym jest chyba mówić, iż dzieje się to — niestety — pod wpływem mocno znaczonych na karcie Europy, ostatnich wypadków politycznych. Mówimy niestety, bo Polska nie od dziś jest tym jedynym państwem i narodem słowiańskim, skąd może jeszcze i powinno wyjść właściwe rozwiązanie i decyzja w tej tak doniosłej sprawie.

O SŁOWIAŃSKI MIT

O dzisiejszym stanie głębokiego upadku narodów słowiańskich, będącego wynikiem długiego rozwoju historycznego, zadecydowało niewątpliwie zerwanie samorodnego wątka kultury, jakie nastąpiło w okresie ząbkowania cywilizacyjnego tych narodów przez ugruntowanie się wśród nich duchowego panowania kościoła rzymskiego. Pójście na łatwiznę gotowych wzorów, często zresztą nie bez krwawych oporów, i uchylenie się od wysiłku, którego wymaga stworzenie własnej, zgodnej z cechami rasowo-psychicznymi koncepcji światopoglądowej, zemściło się srogo. — Nie bałamućmy się i nie bądźmy ślepi. Przecież, w gruncie rzeczy, ugrzęźnięcie w ramach rozkładczego obcego systemu duchowego zadecydowało o tym, że od wieków już znaczna część Słowiańszczyzny jest właściwie tylko pognojem dla innych. Dość tu choćby wskazać na Niemcy. Brak świadomości narodowej, brak świadomości poczucia interesów ogólno-słowiańskich, atomizacja i rozkład wewnętrzny, degradacja polityczna — to są już dalekie, wtórne skutki. Wbrew temu coby się zdawało nakazuje zdrowy rozsądek, nawet w obliczu najgroźniejszego niebezpieczeństwa nie może się zrodzić myśl zjednoczenia, czy też wspólnej akcji i to zarówno w odniesieniu do każdej poszczególnej grupy — jak to miało miejsce np. z Czechosłowacją, jak i do wszystkich razem. Wielce naiwnym i głupim jest szukać tego przyczyn gdzie indziej, niż w treściach zamkniętych w duszy.

Słowiańszczyznę może dziś odrodzić tylko prawdziwa, oryginalna idea słowiańska — mit, płynący z najgłębszych pokładów pierwotnego narodowego ducha. Naśladownictwo, obce wzory na nic tu się nie zdadzą, w samym sobie trzeba szukać rozstrzygnięć. To również nie może być płytka i jałowa reakcja na poczucie zagrożenia, ale spontaniczny wybuch woli i mocarnego pragnienia, dziejotwórcza myśl, dająca wizję nowego życia i nowego człowieka. Dotychczasowe, stare prawdy, „święte" wierzenia i ideały, im-

portowanego pochodzenia muszą iść na szmelc, na śmietnisko, ich miejsce zastąpić muszą, własne, rodzime, ze słowiańskiej gleby etnicznej poczęte i z nią związane.

Taka Idea będzie dopiero płaszczyzną, na której może nastąpić zjednoczenie Słowian; taka Idea będzie również nie tylko skuteczną tamą przed naporem teutońskim, ale obudzi i zapali radosnym życiem słowiańskim, życiem twórczości i te narody, które teraz gnuśnieją w bezdziejach własnych państwowości i te na pół zduszone w odmętach germanizmu żywioły i ziemie słowiańskie, które daleko rozciągają się za zachodnią, czy północną granicą Polski. Państwo Chrobrych nie będzie wówczas mrzonką bujnej fantazji, zbyt dużo jest tam świeżych prochów i tlącego się jeszcze życia słowiańskiego.

OSOBLIWY KURS NA SŁOWIAŃSZCZYZNĘ

Jeśli się więc zaczyna dziś mówić w Polsce o Słowiańszczyźnie, nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę na bardzo charakterystyczne objawy, jakie ostatnio w związku z tym zachodzą.

Ograniczmy się przede wszystkim do suchego zanotowania pewnych faktów. I choć gniew targa uczuciem, by nie być posądzonym o płytką demagogię, będziemy się starali nie wyjść poza rolę obiektywnego, zimnego obserwatora.

Na temat Słowiańszczyzny zabrała głos Katolicka Agencja Prasowa, słynna Agencja, ta sama co celowo przemilcza niektóre mowy swych papieży w warunkach polskich niewygodne. Oto w jednym ze swoich biuletynów z końca czerwca b. r., cytując głosy prasy zagranicznej o roli Polski wśród narodów słowiańskich, tak między innymi oświadcza: „Słusznie się dziś podkreśla, że zadaniem historycznym Polski jest zwycięskie odparcie fali germańskiej, która próbuje wchłonąć i wyniszczyć Słowian". „...Rosjanie —cytuje dalej KAP niemieckiego historiozofa (**katolika** — przyp. mój) W. Schubarta — stanowią wskutek obcej duchowi cywilizacji zachodniej ideologii, odrębną grupę, ale i oni siłą wydarzeń nadchodzących będą musieli **przerobić** się na modłę, obowiązującą losy Sławian, jako całości... Na horyzoncie dziejów zjawia się coraz wyraziściej olbrzymi blok słowiańskich ludów, wynoszący już dziś ponad 200 milionów..." — Znając hierarchistyczną organizację kościoła katolickiego, nie popełnimy chyba błędu, jeśli stanowisko zajęte przez KAP-inę scharakteryzujemy zwięźle: Watykan interesuje się życiowo-politycznymi problemami Słowian. Zapewne, jest to co najmniej dziwne, jeśli nie wręcz podejrzane.

Odpowiedź na nader interesujące pytanie dlaczego Watykan się interesuje i o co właściwie chodzi, znajdujemy w tym samym komunikacie o kilka wierszy niżej (KAP znowu tu cytuje katolickiego historiozofa): „Najbardziej skonsolidowanym pierwiastkiem religijnym w Słowiańszczyźnie współczesnej jest katolicyzm. Jeśli więc Polska będzie odgrywała rolę przewodniczki duchowej w Słowiańszczyźnie, na co się już zanosi, to i katolicyzm w szczepach słowiańskich zatriumfuje. **Otwiera się nowe, olbrzymie pole dla Kościoła w Europie Słowiańskiej...**" (podkreślenia moje). Tu znowu narzuca się nam mała uwaga: Watykan bierze kurs na Słowiańszczyznę.

Obok enuncjacji oficjalnych i nieoficjalnych sfer katolickich, daje się jeszcze zauważyć innego rodzaju akcja, zainicjowana w Polsce przez — konkretnie — centralę poznańską. Polega ona, między innymi, na organizacji terenu. Jeżdżą więc po kraju różne zaufane, być może często nieświadome osoby, (świeckie, świeckie — a jakże), wygłaszają odczyty, zakładają koła, inspirują. Próbką tej roboty niech będzie drobny, ale jakże znamienny wypadek. Na jednym z nadmienionych odczytów z przyjezdnym prelegentem, na prowincji, w dyskusji padły takie oto słowa, wypowiedziane — no oczywiście — przez jezuitę: „By prawosławie pozyskać dla Słowiańszczyzny, musimy je przywrócić na katolicyzm". Od siebie dodamy, że robi się to już zresztą z gorliwością, godną zaiste lepszej sprawy. Całej tej akcji nadaje się przy tym — i nie bez słuszności — charakteru dość przekonywującego, ba! na pół urzędowego tak dalece, że wielu, wpadając często w duże zakłopotanie, traci w rezultacie w tym wszystkim całkowita orientację.

Możemy zreasumować. Watykan, wytyczając Słowiańszczyźnie kurs katolicki, konsekwentnie jak zawsze, bierze jednocześnie mocno w swoją garść cugle tego kursu.

Może tu ktoś wysunąć argument, że akcja oficjalnych sfer zakrystii w danej sytuacji jest mniej czy więcej zbieżną z wytycznymi, leżącymi na linii polityki państwa, że z tego powodu, biorąc pod uwagę dzisiejszą sytuację polityczną, zwłaszcza zewnętrzną, państwo nie może nie wyzyskać takiej siły, jaką jest dziś kościół w Polsce. Chociaż argument ten nie wiąże się ściśle z tematem, poświęcimy mu kilka uwag.

Polityka jest zawsze uwarunkowana sytuacją w jakiej przebiega. Jest rzeczą naturalną, że powinna ona i stara się wyzyskać wszystkie możliwości i środki, które w danej chwili stoją do dyspozycji. To też, jakkolwiek uważamy, że problem Słowiańszczyzny wart jest i winien być daleko poważniej i głębiej potraktowany, niż tylko pewnego rodzaju atut propagandowy, zajęcie się nim państwa jest dziś samo przez się zrozumiałe. Jeśli jednak państwo miałoby się wyręczyć czy posłużyć zakrystią na odcinku słowiańskim, to atut ten odrazu zostaje zmarnowany. Nic z tego nie wyjdzie. Dla kościoła bowiem, co choćby tylko widać z przytoczonych powyżej miarodajnych enuncjacji, zagadnienie Słowiańszczyzny identyfikuje się z katolicyzmem. Inaczej zresztą być nie może. No, a chyba nikt nie jest tak naiwny, by sądził, że hasła katolicyzmu mogą zbudzić i rozniecić uczucia i świadomość słowiańską u tych, którzy wydźwignąwszy się na wyższy poziom, już dawno te hasła odrzucili. Czy możemy na przykład zwrócić się z katolicyzmem do tych protestanckich żywiołów słowiańskich, które znajdują się za całym zachodnim i częścią północnego kordonu? Na takie hasła z całą pewnością oddźwięku tam nie znajdziemy. A poza tym, jakaż to inna siła duchowa rozwaliła Europę słowiańską na strzępy, zatomizowała ją, sprawiając słabość i beztwórczość.

Trzeba dobrze zdać sobie sprawę, co to jest Słowiańszczyzna i na czym polega jej znaczenie, a z drugiej strony — czym jest „partner" i o co jemu właściwie chodzi? Bo jeśli cele państwa i jego partnera są różne, a są, to osiągnąwszy swoje, taki partner przestaje być narzędziem i sprowadza drugą stronę do tej roli. Baczmy by nie stało się to z państwem.

Jeśli polityk uważa dziś za konieczne zająć się problemem Słowiańszczyzny i chce na tym polu odnieść jakieś rezultaty, to nie wolno mu pod grozą niepowodzenia ani na chwilę wypuścić z rąk inicjatywy w tej sprawie. Pozbądźmy się złudzeń, że cele partnerów mogą nie być sprzeczne. To nie jest gołosłowne twierdzenie, ma ono pełne pokrycie i to nie tylko w historii Polski i Słowiańszczyzny. Zresztą, po co sięgać do historii. Czy ostatnia, nieudana akcja „pokojowa" Watykanu, wysuwająca propozycję drugiego Monachium dla „przedyskutowania", obok roszczeń włoskich do Francji, sprawy — bagatela — Gdańska, nie wystarcza?

Wróćmy jednak do tematu.

Skąd to nagłe zainteresowanie się sfer katolickich tą, w gruncie rzeczy, bardzo niebezpieczną dla kościoła sprawą, jaką jest Słowiańszczyzna? Przecież dotąd sfery te, doceniając niebezpieczeństwo, problem ten już od wieków skrzętnie przemilczały, ba! nawet skutecznie tuszowały. Sprawa jest jasna. Nadarza się okazja, więc się ją wykorzystuje.

Ostatnie wypadki polityczne sprawiły, że kraj dziś w świecie najbardziej **katolicki** i uległy zakrystii, a jednocześnie **słowiański**— Polska, w Europie słowiańskiej wyraźnie wysunęła się na czoło, stała się w Słowiańszczyźnie **pierwszą**. Czyż więc nie miałoby się tej niezwykle sprzyjającej sytuacji nie wykorzystać, ją poniechać, mając tak kapitalne możliwości?

To żywe zainteresowanie się Słowiańszczyzną naczelnych i podkomendnych komórek watykańskich staje się w pełni zrozumiałe dopiero wówczas, gdy się uwzględni jeszcze fakt, że w Europie po wojnie światowej zasięgi i wpływy ich coraz bardziej się kurczą i to w dość znacznym tempie. To co w jednym miejscu się traci, trzeba na gwałt gdzie indziej zdobywać. Obrona potrzebna, ale i atak konieczny, bo inaczej mogłaby się przytrafić katastrofa. Drugiej Reformacji mogłoby się nie przetrzymać.

Pozostaje jeszcze jedna rzecz do poruszenia, formalnie zresztą znana już bardzo dawno.

GRA NA DWA FORTEPIANY

W zainteresowaniu, jakie zaczynają okazywać sfery katolickie w Polsce Słowiańszczyźnie, uderza szczegół, że akcja ta nie

spotkała się dotąd z oficjalnym i bezpośrednim udziałem Watykanu. Dla czego na przykład nie ma w tej mierze ani bull, ani orędzi, czy czegoś innego w tym rodzaju, jak to się zwykle dzieje?

To napozór tajemnicze stanowisko staje się mniej dziwne, jeśli się zważy, że Watykan, jako międzynarodówka ma swoje żywotne interesy nie tylko w Słowiańszczyźnie, ale i gdzie indziej. I tu, żeby daleko nie szukać, wskażemy na Niemcy. O właśnie! o nie to chodzi. — To, co w jednym miejscu może przynieść upragnione owoce w postaci dusz i mniej abstrakcyjnych (a bardziej materialnych) wartości, w drugim to samo może spowodować utratę nawet już posiadanych. A wiadomo z dużego doświadczenia po Europie, że tereny raz stracone, rzadko kiedy wracają, raczej nigdy. Gdyby Watykan w dzisiejszej sytuacji politycznej pozwolił sobie na jawne zamanifestowanie swych „sympatii" do Słowiańszczyzny, można sobie wyobrazić, jaką by dał broń Hitlerowi do ręki dla zlikwidowania ostatnich pozycji katolicyzmu w Niemczech, których już i tak nie wiele zostało. Poco nieroztropnie narażać się, kiedy i tak sfery katolickie w Polsce są dość silne, by akcję samodzielnie prowadzić. O! Watykan jest zbyt przezorny i bogaty w doświadczenie. On nie tylko potrafi przeciwnika nie drażnić, ale go i ułagodzić, choćby nawet... polskim Gdańskiem. — Tak więc, w tej trudnej sytuacji tylko wypróbowana gra na dwa fortepiany może być skuteczną. Mamy tu wytłumaczenie pozornej wstrzemięźliwości Watykanu w zbyt manifestacyjne angażowanie się do Słowiańszczyzny. Mamy tu również wytłumaczenie istotnych motywów ostatniej akcji „pokojowej".

Kierunek w jakim zmierza akcja sfer katolickich na odcinku słowiańskim jest nader wyraźny. Chodzi o wytworzenie przekonania, że problem ten pokrywa się całkowicie z katolicyzmem. Naszym zadaniem jest wykazanie absurdalności tego założenia. Zadanie swoje spełnimy przez sformułowanie narodowego mitu słowiańskiego, mitu zadrużnego.

J. Grzanka

Istota problemu słowiańskiego

Aby zrozumieć problem słowiański trzeba się cofnąć wiele wieków wstecz, do początków naszych t. zw. historycznych dziejów. Trzeba zburzyć perfidny fałsz, że nasza historia zaczyna się z chwilą przyjęcia chrześcijaństwa w X wieku. Należy przywrócić historii przynajmniej dziesięć wieków niebywałego rozwoju i potęgi Sławii.

Dziś, z za gęstej zasłony utkanej przez wieki konsekwentną pracą mnichów i naszych pseudohistoryków, dzięki niestrudzonym badaczom wyłania się dawna Sława, Sławia z przed wieków dwudziestu i piętnastu w pełni olśniewającej glorii i wielkości.

EPOPEA SŁAWÓW

Jeszcze imperium Rzymskie olśniewa świat potęgą cywilizacji i kultury, jeszcze stalowe kohorty Rzymian przemierzają cały ówczesny świat cywilizowany, a już Sławianie dają często znać o sobie, wyprawami na Grecję lub Skandynawię, czy też potężnym naciskiem na plemiona germańskie, które zmuszone są szukać schronienia w ramach imperium Rzymskiego. Niezwyciężone zadrugi Sławian przebiegają całą pozarzymską Europę ze wschodu na zachód, z północy na południe. Mimo licznych wojen Rzym niezdolny jest usadowić się w Europie środkowej, nawet nie może utrzymać swych straży nad Dunajem.

W pierwszych wiekach naszej ery Sławianie opanowali całą Europę wschodnią, środkową, północną i zachodnią aż do granic dzisiejszej Francji. Kraj swój usiali miastami, Bałtyk, Morze Północne były morzami Sławian, a liczne wyprawy orężne na Skandynawię łupiły kraje późniejszych Wikingów skandynawskich. Przed Wikingami skandynawskimi i Normanami na Bałtyku panowali Wikingowie Sławscy. Cały szereg wielkich miast nad brzegami Bałtyku i morza Północnego, wielkością, zamożnością, handlem i sztuką w podziw wprawiało podróżników i kupców greckich, czy rzymskich. Od nich gotycki styl wziął swój początek.

Wbrew utartym pojęciom o charakterze naszych przodków (kłamstwa o Piaście i Rzepisze), Sławianie byli narodem wojowników i zdobywców. W wojnach odznaczali się odwagą i okrucieństwem, w życiu zbiorowym wyróżniali się gościnnością, karnością oraz wysoką etyką życia zbiorowego (nie znali kradzieży).

Posiadali własną koncepcję życia, której odbiciem była oryginalna religia, czysto naturalistyczna, oparta o zjawiska przyrody; dość jeszcze wprawdzie prymitywna, ale własna, potęgująca życie i służąca rozwojowi własnej masy biologicznej.

Podstawą ich życia kulturalnego i etycznego była swoista postawa wobec bytu: głód wielkości, karność, spontaniczna dyscyplina, głęboki zmysł podporządkowania, wysokie poczucie wspólnoty plemiennej oraz pogarda dla śmierci, bezwładu i bierności były jej znamionami. Wyrazem tej postawy była organizacja życia zbiorowego Sławian w związkach rodowo - gospodarczych i militarnych, zwanych zadrugami. Tym to zadrugom zawdzięcza Sławia swój rozwój i potęgę. W miastach odpowiednikami zadrug były związki miast, z których najpotężniejszy — związek miast bałtyckich dał później początek Hanzie...

Wszystkie te cechy swoistej, rodzącej się kultury sławiańskiej, rozwijane konsekwentnie mogły dać początek jakiejś oryginalnej cywilizacji zakrojonej na miarę gigantów... Dziś możemy tylko snuć przypuszczenia jaką drogą poszedł by świat gdyby ten oryginalny rozwój Sławii w swych początkach nie został zahamowany przez silniejszy w **danym momencie** dziejowym nurt kultury rzymskiej i na tej ostatniej żerującej, „kultury" chrześcijańskiej. Otóż Sławia miała wszelkie dane ku temu, aby podążyć własną drogą rozwoju i gdyby się to było stało, dziś niewątpliwie bylibyśmy świadkami naprawdę wielkiej, wspaniałej cywilizacji sławiańskiej. Niestety te wspaniałe możliwości zostały niebawem zniszczone, a rozwój Sławiańszczyzny został zepchnięty na bezdroża.

Na przegrana Sławii złożyły się dwie ściśle ze sobą zespolone i równolegle działające przyczyny.

Wyparte ze swych siedzib **plemiona germańskie**, weszły w orbitę kultury i cywilizacji rzymskiej. Stąd przyswoiły sobie wyższą sztukę i organizację wojenną, jednocześnie wzięły sobie spuściznę upadającego Rzymu — chrześcijaństwo, ale jako zwycięzcy Rzymu stali się panami naczelnej organizacji tegoż prądu duchowego t. j. **kościoła.** Wkrótce kościół stał się narzędziem w ręku władców germańskich i został wykorzystany do ich własnych celów. Na podbój Sławii wyruszyły zatym dwie siły: **sztuka wojenna rzymska oraz zastępy mnichów,** mające rozsadzić narody od wewnątrz i zewnątrz.

Począwszy od końca VII wieku rozpoczęła się straszliwa walka Cesarzy rzymskich narodu Niemieckiego ze Sławianami. Walki trwały ze zmiennym szczęściem, ale długo Sławianie wytrzymują skutecznie napór Germanii mimo niewątpliwej przewagi cywilizacyjnej i wojennej. Widocznym się stawało, że Sławia napór ten wytrzyma. Ale Germanowie rozporządzali jeszcze inną siłą, działającą mniej widocznie, jednak skutecznie.

Legiony podróżników, kupców i mnichów ruszyły na podbój ziem Sławii. Powoli systematycznie szczepiono nową wiarę w szeregach Sławów, naprzód wśród niewolników, jeńców, zakładników, następnie mając już jakie takie oparcie i zaczepienie o grunt, czynili wyrwy w jednolitej przed tym Sławii. Chrzest Czechów, Morawian i Słowian Południowych był pierwszą klęską Słowian. Cały szmat krajów południowych został wyrwany ze wspólnoty i poddany wpływom niemieckim.

Odczuły to na sobie kraje Polski, najeżdżane obecnie raz po raz od południa. Walcząc od wieków przeciw naporowi germańskiemu wraz z plemionami połabskimi, naraz Polska poczuła się zagrożoną i od południa. Książę Mieszko ze względów politycznych postanowił przyjąć chrzest sądząc, że wraz z przyjęciem kultury rzymskiej i chrześcijaństwa znikną powody do wojen z Niemcami. Nie zdawano sobie sprawy, że wydano wyrok zagłady na Sławian połabskich i pomorskich. **Chrzest Polski nalezy zatym uważać za druga niesłychanie doniosła klęskę dla Sławian.**

Powoli i reszta Sławii uległa wpływom obcej kultury. Tak świetnie zapowiadająca sie, oryginalna kultura Sławian, mająca być podstwą dla wspaniałej cywilizacji sławiańskiej została doszczętnie zniszczona, w sposób nie-

słychanie barbarzyński starta z powierzchni ziemi tak, że dziś każdy jej ślad trzeba opłacić olbrzymim trudem poszukiwań i badań.

Po dawnej, świetnej Sławii został jeno niewyraźny ślad, podświadoma tęsknota tych nielicznych jednostek, które zdołały wydrzeć się z kręgu, przemocą narzuconej nam obcej kultury.

Bardzo niewiele zostało z tej dawnej Sławii: a więc folklor, pokrewny język, resztki wierzeń, zagrzebanych gdzieś po najgłębszych wsiach polskich czy innych, resztki obrządków staropogańskich przeważnie już „ochrzczonych" i przyswojonych przez chrześcijaństwo, (święto Kupały, święto Wiosny, święto Przodków), resztki ubiorów regionalnych, wreszcie stare zwyczaje skrzętnie zachowane na wsi oraz mgliste poczucie jedności plemiennej, widoczne zresztą u bardzo nielicznych jednostek.

Pozostała prawie niezmieniona **masa biologiczna,** zwłaszcza w swych dolnych warstwach. W niej tkwi źródło i możliwość Odrodzenia.

Pozostała wreszcie swoista **postawa zadrużna wobec życia,** wyrażająca się w buncie najwartościowszych jednostek, przeciw panującej małości i wegetacji, w tęsknocie do innego pełnego życia, któremu na imię wielkość. Jest to ta sama postawa, którą ożywieni dawni Sławianie szli w zwartych zadrugach na podbój Europy, tworzyli świat według swojej własnej wizji, budowali miasta i grody zdobne w dzieła własnej, rodzimie oryginalnej sztuki.

DOTYCHCZASOWE KONCEPCJE

Dotychczasowe koncepcje, szumnie zwane sławiańskimi, niewiele mają wspólnego z istotą Sławiańszczyzny. Są to koncepcje czysto polityczne — słowianofilska polityka Rosji i Czechosłowacji — polegające na mechanicznym wtłoczeniu Sławian w jeden organizm polityczny i poddaniu supremacji jednego narodu (t. j. Rosji); albo też próby mechanicznego powiązania tych resztek, które pozostały z dawnej Sławiańszczyzny, a więc folklor, język, gramatyka, zwyczaje, ubiór i t. p. i narzucenie całej masie etnicznej sławiańskiej. Jest to oczywiste zubożenie kultury.

Obecnie mamy na widoku świeżo upieczoną koncepcję problemu Sławiańszczyzny, która może posłużyć raczej za dowód degeneracji pewnych sfer społeczeństwa polskiego. Czytelnicy zapewne zauważyli jak naraz we wszystkich pismach t. zw. narodowych i katolickich zaczęto smażyć potężne artykuły na tematy sławiańskie. Pisma, które jak dotąd akcentowały jedynie swój katolicki, „narodowy", a w gruncie rzeczy watykański charakter, zachłysnęły się wielkim odkryciem: „musimy zesłowianieć". Zapłonęły gorącą miłością — do kogo? Myślicie może że do Czechów, czy do Rosjan? Nie, skąd znowu? Czesi to bezbożnicy, odszczepieńcy, husyci i masoni. Takich Czechów my nie lubimy, takich Czechów my nie kochamy. Rosjanie zaś to komuniści, dawni ciemiężcy i odszczepieńcy, Papieża nie uznają. Naodwrót — Madziarzy to najlepsi nasi przyjaciele, nic to że innej rasy, że się znęcali nad Legionistami, najwięksi grabieżcy w czasie wojny — ale przyjaciele, bo katolicy. Ba przecież i Niemcy: to tylko ci protestanci i hitlerowcy, ale katolicy to „demokraci, przyjaciele". Że niemczą lud polski w szkołach i po kościołach to głupstwo, bo przecież z jednej owczarni.

Sekret cały w tym, że coraz mniej owieczek na świecie. Narody i jednostki wyłamują się z pod wpływu duchowego kultury chrześcijańskiej, a zwłaszcza katolickiej. Sławiańszczyzna to potężna masa ćwierćmiliardowa, z tego większość w Rosji niewierzących, zatym a nuż system sowiecki padnie — trzeba być przygotowanym. Zresztą i w Polsce mamy sporo prawosławnych, podobnie i w innych krajach sławiańskich. Już sie to przecież robi masowo na Wołyniu. Wabik sławiański ma na celu umożliwienie nawrócenia inowierców na rzymskie podwórko i to jest jedyny, istotny powód poruszania sprawy sławiańskiej. — **Ta gra się nie uda!**

NASZE STANOWISKO.

Z **zadrużnego** punktu widzenia to nie folklor, język, zwyczaje, dawne wierzenia, wykopaliska stanowią istotę Sławii. Te sprawy pozostawiamy dotychczasowym badaczom i naukowcom, może dowiodą, że Swantewita nie było a był św. Wit, lub święto Kupały pochodzi od kąpania... („Prosto z Mostu").

Dla nas zagadnienie sławiańskie to problem ryginalnej kultury sławiańskiej opartej o:

1. masę biologiczną słowiańską, 2. postawę heroiczną wobec życia — postawę zadrużną, postawę rodzącą głód wielkości, postawę zmuszającą do wytężenia i walki.

Ta postawa heroiczna, która spowodowała niebywały rozwój Sławii w pierwszych wiekach współczesnej ery, która kazała im walczyć, zwyciężać i tworzyć własne wartości kulturalne, własne wartości moralne i na swój indywidualny sposób przetwarzać świat, postawa która dała zręby pod nowomającą się rozwinąć cywilizację, ta postawa jest wspólną i nam; i dlatego podejmujemy trud, aby dać zręby pod wspólną cywilizację słowiańską, opartą na **tej samej masie biologicznej i na tej samej postawie zadrużnej wobec życia.**

Problem słowiański zatym, to nowa cywilizacja słowiańska.

Problem słowiański to inny, nowy styl życia, to inne mierniki wartościowania tego co jest dobre i złe, to nowa era Sławiańszczyzny, jedno wspólne tętno, które musi bić w nas i dla nas, które musi być wspólne wszystkim Sławianom.

Na tym gruncie chcemy wznosić nowy świat ducha sławiańskiego. Z postawy zadrużnej, postawy mocy, upojenia, twórczego entuzjazmu będziemy wysuwać obraz kultury, który przemienić się musi w żywe ciało bujnej cywilizacji.

W tym dziele, nie potrzebujemy się troszczyć o te nikłe resztki i odłamki, które wydobywają na wierzch różni dłubacze. Kultura sławiańska okresu bohaterskiego, wyrosła z tej samej postawy, która i nas dziś ożywia: z postawy zadrużnej. Przodkowie nasi tą postawą ożywieni, przetwarzali świat, stwarzając dorobek, którego nikłe odłamki dziś wydobywa na wierzch etnograf, archeolog. Dorobek ten jest tylko zewnętrznym wyrazem twórczości wyrosłej z postawy zadrużnej.

Najbardziej przemyślne składanie i szeregowanie tych szczątków, nie zastąpi i nie odtworzy tego życia, które je stworzyło. Punktem wyjścia musi być siła, która to wszystko do życia powołała — **postawa zadrużna.**

W konkretnych warunkach naszych czasów, nasza postawa zadrużna, inaczej uformuje świat otaczający niż to było dwa tysiące lat temu. Postawa zadrużna przełamując się w pryzmacie konkretnych warunków, uformuje całkiem oryginalny obraz nowego życia.

Do tego dzieła musimy gorączkowo przygotowywać się już dzisiaj. Musimy już dziś zarysowywać artystyczną koncepcję bytu wysnutą z postawy zadrużnej. Toż samo dotyczy koncepcji religijnej. Gdy najgłębsze wczucie się w rytm istnienia, pozwoli nam choć w najogólniejszym stopniu tego decydującego dzieła dokonać, będziemy mogli już bez przeszkód zarysować naszą filozoficzną koncepcję świata. Koncepcja światopoglądowa zarysowująca stronę **artystyczną, religijną i filozoficzną** pozwala na złączenie jej decydującym ogniwem: **koncepcją etyczną.** Mamy wówczas **ideał moralny człowieka,** skąd jako prostą dedukcję mamy koncepcję **państwa, społeczeństwa i gospodarstwa.**

Mając w swej duszy bezmierny skarb, zdolność ustosunkowania się do życia po przez pryzmat postawy zadrużnej, bezcenną **zdolność heroicznego, zadrużnego pojmowania życia,** wolno nam ważyć się na najśmielszą rewolucję ideo-moralną w dziejach. Odrzucamy precz wszelkie wahanie: z jasnym i zuchwałym obliczem wkraczamy w sferę bytu, gdzie człowiek dotychczas ukazywał się tylko jako pokorna, słaba, bezwolna istota.

Inż. L. Zasada.

Oddziały »ZADRUGI«

ŁÓDŹ, ulica Kopernika 12 m. 24. — — —
Dyżury we wtorki w godzinach 17 — 18 — —

BIELSKO-ŚLĄSK, ul. Konarskiego 33, tel. 3303
Dyżury we środy w godzinach 17 — 18 — —
Informacje telefoniczne codziennie w godz. 9—10.

Naród upadł bo mu skradziono duszę

Karol Zbyszewski w labiryncie świadomości polskiej

Motto 1.

KONRAD: Na co mamy być Chrystusem narodów, wyłącznie na mękę i krzyż i dla cudzego zysku?

MASKA 15: ?

KONRAD: Dla cudzego zysku i wyzysku tych, którzy nie będą Chrystusami narodów, a...

MASKA 15: Obrażasz mój naród.

KONRAD: Chcę go zasłonić przed oszustami.

MASKA 15: —?

KONRAD: Zasłonię go przed oszustami, tymi, co mu kradną duszę za cenę rzeczy nieuchwytnych. Co mu odbierają dumę i każą się pokorzyć; tymi, co mu odbierają pychę i każą się kajać w prochu upodlenia i żebrać. Przed tymi chcę naród mój ocalić, co każą mu jak żebrakowi skomleć i jęczeć,— jemu bogaczowi...

(Wyspiański — „Wyzwolenie")

Motto 2.

Możesz oszukiwać cały naród przez pewien czas.
Możesz oszukiwać część narodu przez cały czas.
Lecz nie możesz oszukiwać całego narodu przez cały czas.

(Shakespeare)

Radzimy czytelnikom naszym przeczytać książkę, napisaną przez Karola Zbyszewskiego p. t. „Niemcewicz od przodu i tyłu". *)

Nie bez przyczyny cierpimy dotychczas na brak sensownych opracowań, dotyczących okresu naszej historii od początku wieku XVII do końca w. XVIII. Okres ten przyjęliśmy nazywać na łamach „Zadrugi" „epoką saską". Jest on bowiem tak jednolity swoją wewnętrzną strukturą, prawidłowością w rozwoju, że szatkowanie go na podokresy byłoby przeszkodą dla uchwycenia jedynie słusznej dlań syntezy. Bezmiar upadku życia polskiego za panowania Stanisława Poniatowskiego w niczym istotnym nie odbiega od czasów, kiedy z woli, czy za wolą narodu panowali królowie sascy. Ten sam styl życia, bo ten sam jego duchowy motor. Czytając więc książkę Zbyszewskiego, nie wykraczającą formalnie poza okres panowania króla Stasia, winniśmy pamiętać, że odmalowany w niej obraz, właściwy jest również dla całego wieku poprzedzającego.

A obraz ten odmalowany jest z talentem. Nie jesteśmy pismem literackim, to też ta strona krytyki mniej nas interesuje. Wystarczy, gdy krótko podkreślimy, że zachwyca nas forma, w którą ubrał Zbyszewski swój obszerny, jeżeli tak można powiedzieć — reportaż historyczny. Jest to pamflet, który śmiało można nazwać arcydziełem; pamflet tym godniejszy uznania, że mimo swej żywiołowej pasji i porywającej nienawiści do epoki, nic nie tracący ze swej prawdy historycznej, odtworzonej przez autora — poza kilku nieistotnymi szczegółami — ze starannością muzealnego archiwisty, a i pogłębionej jego niezwykłą intuicją, jeżeli chodzi o szczegóły i najdrobniejsze nawet fragmenty.

Pod piórem Zbyszewskiego obraz jest ponury, w swej potworności graniczy z jakąś niesamowitą groteską. Ale, aby być prawdziwym, czyż mógł być innym?

Czytając „Niemcewicza" można aż nadto dobrze wczuć się w atmosferę bezbrzeżnego upadku, która obejmuje w tym czasie wszystkie szczeliny życia polskiego. Nie trza już mówić o życiu publicznym, politycznym, o gospodarce, o skarbie państwowym, czyli kasie podręcznej króla Stasia, która, choć zasilana chojnie rublami carowej Katarzyny, nigdy nie była dość pełna by opłacić liczne Króla Jegomości kochanice i inne bardziej jeszcze temu „pomazańcowi bożemu" przystojne kaprysy. Te rzeczy bodaj są już jako tako znane. Nauka historii jednak wciąż jeszcze kryje przed nami istotny nurt życia polskiego tej epoki za fasadą szumnych słów i frazesów o „prywacie szlachty", o „zwyrodnieniu demokracji szlacheckiej", o nadużyciach

*) Karol Zbyszewski: „Niemcewicz od przodu i tyłu", Towarzystwo Wydawnicze „Rój", stron 367, Warszawa.

waniu „liberum veto", o „braku silnej władzy królewskiej", o „upadku mieszczaństwa", itp. Pewnie, że to wszystko prawda, ale to jest wielkie „nic". Zbyszewski, tak jak Świętochowski w „Genealogii teraźniejszości" uczynił wielki krok naprzód. Nie zważając na zgorszone miny panów profesorów, miast dodać do oficjalnie uznanej fasady jeszcze parę szczegółów, przedarł się przez uniwersyteckie komunały i wkroczył odważnie do podgniłego gmachu Polski przedrozbiorowej kuchennymi schodami, od tyłu... Natrafił tam na kapitalne i bogate, zszarzałe od starości, a dotychczas zupełnie nie wykorzystane materiały. Jego książka daje wymowne wskazanie, że historii tego okresu trzeba się uczyć z pamiętników, z rękopisów; że, aby ją poznać należy podjąć trud żmudnego grzebania w zakurzonych archiwach, bo w naszych podręcznikach historii wciąż jeszcze, mimo upływu 200 lat, brak jest choćby wiernego tylko obrazu epoki. Jakże nie wiele wiemy o podłożu moralno - obyczajowym, o systemie wychowawczym, uchwyconym w monopol przez zawodowych „pośredników wiary", a przede wszystkim przez „naśladowców Chrystusa" — jezuitów, o totalnym systemie duchowym, który przepędziwszy precz wszelkie „nowinkarstwo", uczynił z narodu królika doświadczalnego dla uprawy i chodowli „prawd", objawionych pod gorącym niebem Palestyny. Napróżno szukać w oficjalnej nauce historii opracowań, któreby dawały pojęcie o straszliwym spustoszeniu moralnym i umysłowym, jakie w owych czasach sprawiła taka choćby „ewangelia narodowa", za jaką słusznie ze względu na swoją powszechność uchodziły „Żywoty Świętych" Skargi. Kokocia płytkość naszej myśli historycznej (czy tylko historycznej) zapoznała zupełnie dziedzinę kulturalną epoki saskiej, a przecież z tej to gleby, uprawianej wyłącznie przez katolicyzm, wyrastały najnaturalniej w świecie wszystkie dalsze ogniwa socjalne, że wymienimy tylko politykę i gospodarstwo.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że Zbyszewski te zagadnienia należycie i wyczerpująco potraktował. Trzeba na to syntezy, zaś talent i temperament autora „Niemcewicza" usposabia go do podejmowania prób raczej na polu monografii historycznej, choć szeroko pojętej. Nie mniej jednak, powiadamy, Zbyszewski uczynił poważny krok naprzód ku tej stronie naszych dziejów, która jest jeszcze nadal „ziemią nieznaną", kryjącą zazdrośnie istotne przyczyny upadku naszej niepodległości.

Książka Zbyszewskiego, bodaj wbrew woli autora, daje dostatecznie jasne i przekonywujące świadectwo, że ruina całej nadbudowy społecznej nastąpić musiała jako nieunikniony skutek kompletnego wyjałowienia duchowego polskiego narodu, że państwowość polska upaść musiała wskutek straszliwej dewastacji moralnej zarówno na szczytach, jak i w dołach socjalnych, przyczym pamiętać należy, że stan ten nie był wynikiem jakichś „błędów". Przecież nie kto inny, tylko Adam Mickiewicz stwierdził w swych prelekcjach paryskich, że Polska tylko dlatego upadła, że w swym rozwoju po linii chrześcijańskiej zbyt wyprzedziła resztę Europy, której rozwój toczył się po torach odmiennych. A „wieszcz narodowy" chyba doskonale orientował się w kryteriach oceny, wynikających z „prawd objawionych", a to zarówno ze względu na swoje pokrewieństwo rasowe z prorokami chrześcijaństwa, jakoteż z uwagi na wybitne bezsprzecznie zdolności wczuwania się w istotę nurtu dziejowego i ujmowania go według wszelkich prawideł historiozofii. Mickiewicz jednak jest w swej szczerej wypowiedzi odosobniony. Inne bowiem tej samej miary, lub mniej znakomite autorytety uprawiają zazwyczaj przedziwną żonglerkę w argumentacji. Szczególnie spryciarze z pod wiadomego znaku i ich świadomi, lub nieświadomi poplecznicy i najmici, słowem wszyscy patentowani obrońcy „mędzynarodowego związku religijnego z siedzibą w Rzymie", acz przyznają i przy innych okazjach z dumą to podkreślają, że katolicyzm przepoił do głębi duchowość polskiego narodu już od kilku wieków, to jednak oczywistych skutków socjalnych tej symbiozy dziejowej nie chcą zapisać na konto istotnego winowajcy. Publicystyka katolicka usiłuje za wszelką cenę nie dopuścić do powstania zwartego systemu sądów, któryby wyjaśnił wreszcie przedziwne koleje linii rozwojowej naszych dziejów. Niestety musimy stwierdzić, że w tym zakresie Zbyszewski nie odbiegł wiele od poziomu, dla tej publicystyki ustalonego. Takiego zaś przekonania nabieramy nie z samego dzieła, ale z jego przedmowy, która już, po za tym, że

pasuje jak pięść do nosa, jest najsłabszym fragmentem tej wspaniałej skądinąd pracy.

O cóż bowiem chodzi?

Zbyszewski w „Niemcewiczu" w sposób bardzo wyrazisty odtworzył religijno - obyczajowe tło życia polskiego w epoce saskiej. Śledząc z pasją zarysowane obrazy, czujemy ów potworny zaduch zakrystii i zmysłami niemal wyczuwamy, jak pod przemożnym oddziaływaniem gnilnych toksyn sforsowanego przez jezuitów systemu duchowego, odbywał się tragiczny w swej wymowie proces upadania Narodu. Obrzydzeniem napawa nas widok tych tysięcy beztroskich murzynów, składających się na polską szlachtę, murzynów, którzy dzięki gorliwej współpracy swoich duchowych pasterzy, sowicie opłacanych dukatami i coraz to liczniej wznoszonymi kościołami, zapewniwszy sobie zgóry odpusty i zbawienie wieczne, mogli dowoli oddać się wesołej wegetacji w oczekiwaniu na los, przez „opatrzność" wyznaczony. Poskąpił nam tylko Zbyszewski obrazu ludu polskiego, nic nam nie powiedział o życiu chłopa i włościjanina, a nie wiele bardzo o życiu mieszczanina; tego brakuje do całokształtu epoki. A ciekawie w jego ujęciu musiał by rysować się obraz bezgranicznie upodlonych mas wiejskich, które równie dogłębnie jak szlachta, objęte zostały systemem „wiecznych prawd", obraz straszliwej nędzy materialnej i zdeptanego człowieczeństwa, które jakże zwodniczej szukało pociechy w nauce Chrystusa o poddaniu się losowi, zsyłanemu przez „opatrzność". W rozmodlonym i w gorzkożaliźmie czołgającym się przed ołtarzami ludzie, możliwość buntu przeciwko potwornej doli w zarodku została unicestwiona. Szlachta i na jej usługach stojący kler jakby wiedzieli w czym rzecz i dlatego to zapewne gęsto budowane kościoły i klasztory stały się strażnicami nie tylko ciemnoty i obskurantyzmu ale i ...„porządku policyjnego". Tylko dlatego nie polała się krew, która potokami powinna była spłynąć po Polsce, by zmyć nędzę istnienia i dać miejsce lepszemu życiu.

Tego, powiadamy, obrazu Zbyszewski poskąpił. Nie mniej jednak, to co dał wystarczy, by czytelnik uzyskał właściwy sąd o epoce. Zaznaczył również autor swój stosunek uczuciowy do „bohaterów" tej jedynej chyba w swoim rodzaju tragedii. W sposób wyraźny manifestuje swoją żywiołową nienawiść i obrzydzenie, jakie w nim wzbudza życie polskie tych czasów. Jest to postawa jedynie słuszna, bo męska. I to jest bodaj największą zasługą Zbyszewskiego, że swym talentem potrafi wzbudzić w czytelniku te same reakcje, że wyzwala i do białości rozpala najbardziej mocne i podniosłe stany uczuciowe, że pobudza wolę i woła o czyn.

I cóż robi Zbyszewski z tym napięciem duchowym czytelnika? Jest to wszak najwspanialsza dań, jaką otrzymać może artysta za swe dzieło

Oto w najbardziej nieoczekiwany sposób rozładowuje je... w przedmowie. Na przykładzie „Niemcewicza od przodu i tylu" widać jak przedmowa może spartolić najlepsze dzieło. Tu Zbyszewski pokazał się nam... od tyłu. Banał, komunał, wyraźne wpływy „Prosto z Mostu" i „Słowa", zapaszek zalatujący epoką saską.

Gdyby był Zbyszewski nie zamieścił tej swojej przedmowy, książka zwarta kompozycyjnie, o jasnej myśli, miała by swój sens, sens historyczny i co ważniejsze miała by książka swoją ideę. A tak?...

W tej swojej przedmowie Zbyszewski zastrzega się, żeby go nikt nie posądzał o chęć „szargania świętości", tłumaczy się gęsto, że ludzi, co doprowadzili Polskę do upadku, nie może przedstawiać w korzystnym świetle. Jestem głęboko religijny — powiada, doceniam wpływ i znaczenie duchowieństwa... Tym wspanialej — mówi — to świadczy o Kościele Katolickim; że mimo okresów niżu swych kapłanów, nic nie stracił ze swej powagi i świetności, i tak dalej się usprawiedliwia.

Moglibyśmy jeszcze wybaczyć Zbyszewskiemu, gdyby mu chodziło jedynie o zabezpieczenie się przed opinią publiczną, która nie rzadko potrafi odwoływać się do... cenzury. W Polsce nie należy do dobrego tonu pisać prawdy, gdy jest ona przykra, a już uchodzi za karygodne wyciąganie na jaw prawdy upokarzającej, za którą ponosi odpowiedzialność cały naród. Bardziej popłaca samoadoracja, choćby najzupełniej bezzasadna. Oczywiście mamy tu na myśli nie tylko t. zw. „optymizm urzędowy". Rozumiemy, że trudno było Zbyszewskiemu przejść nad tym do porządku dziennego.

W każdym razie nie należało pisać takiej przedmowy, chyba, że... jest ona napisana szczerze. Ponieważ nie mamy jednak żadnych na to podstaw, by odmawiać Zbyszewskiemu szczerości, musimy uznać, że ta jego przedmowa jest nie tylko manewrem, ale również stanowi szczery wyraz jego przekonań i poglądu na problem.

Krótko mówiąc, pogląd Zbyszewskiego na przyczyny upadku Polski, pogląd — zaznaczamy to wyraźnie — sformułowany jedynie w przedmowie, jest następujący: Polska upadła z winy króla łapownika i rozpustnika; z winy magnaterii, „cieszącej" się podobną opinią, z winy biskupów tej samej konduity, wreszcie z winy rozłajdaczonej szlachty, która, jak nas zapewnia autor... źle pojęła katolicyzm, jakoby zbyt „fideistycznie", w czym należy winić duchowieństwo, bo Rzym, powiada, dawno już fideizm potępił.

Na króla, biskupów, magnaterię i szlachtę moglibyśmy się od biedy zgodzić, gdyby Zbyszewski był tylko dziennikarzem. Wszak taki pogląd to już nie androny, które wkładali nam w głowy historycy tego typu co Smoleński czy Aszkenazy, upatrujący przyczyn upadku Polski w warunkach zewnętrznych. Porównanie to jednak, zaszczytu Zbyszewskiemu nie przynosi, co wyraźnie podkreślamy, by go nie urazić. Ale przecie Zbyszewski posiada słuszne ambicje niebylejakiego historyka. Noblesse oblige. Przeto chcielibyśmy usłyszeć jego odpowiedź na pytanie: dla czego naród tych łajdaków nie poprowadził przykładnie na szubienice, na szafoty, dlaczego ich nie powystrzelał? Wprawdzie dobrej broni palnej było wtedy w Polsce znacznie mniej, niż kościołów i klasztorów, ale przecie były jeszcze noże, kosy, a wreszcie zdrowe pazury. Czy Zbyszewski — historyk nie wie o tym, że państwa i narody nie dlatego upadają, że mają złych królów i podłą warstwę rządzącą, ale dla tego, że w biernym wegetowaniu, w poddaniu się losowi, w upodleniu i zatracie odruchów człowieczeństwa. podobne stany znoszą? Czemuż to naród w epoce saskiej nie zbuntował się przeciwko nędzy istnienia, co w potwornych kleszczach trzymało jego żywotne siły? Co go dusiło do ziemi, w pokorze nakazując znosić wszelki dopust boży? Przecież to byli ludzie. — Czy Zbyszewski to rozumie? — l u d z i e! Administracji wtedy nie było, nie było policji ani wojska. Wolność przecie była!

Czyż Zbyszewskiemu — historykowi trzeba wyraźnie wskazać, że wszelki akt woli sponiewieranych dołów przeciwko zdeprawowanej górze, wszelka możliwość buntu unicestwiona została już w samej świadomości narodu, przepojonego do głębi systemem duchowym, wspartym o zasady totalnego w owym czasie katolicyzmu? Przecież nie żaden wróg Katolicyzmu, lecz jego twórca powiedział, że jest to religia uciemiężonych, maluczkich, co w języku nie biblijnym oznacza poprostu niewolników. Odpowiada nam Zbyszewski na to, że naród źle pojął katolicyzm. Zapewne ma na myśli, że lepiej pojęli nakazy swojej religii ci „katolicy", którzy w Wielkiej Rewolucji użyźnili pola Francji krwią swego króla, „pomazańca bożego", krwią swoich panów i tyranów, a również krwią swoich pasterzy duchowych, powołanych dogmatem sakramentu kapłańskiego do interpretowania i nauczania „prawdziwego" katolicyzmu.

Nasza nauka historii wciąż jeszcze nie może wyjść z labiryntu myśli, z labiryntu świadomości narodowej. Szczególnie zaś zagadnienie przyczyn upadku państwa stanowi przeszkodę nie do przebycia. I choć dużym postępem jest już t. zw. „szkoła pesymistyczna", upatrująca przyczyny upadku w warunkach wewnętrznych naszego rozwoju państwowego, to jednak i ta szkoła nie zdołała wyjść poza luźny konglomerat hipotez o takich, czy innych „błędach" i „wadach", których ostateczna wartość teoretyczna, naukowa dla wytłumaczenia takiego fenomenu dziejowego, jak historia Polski od końca wieku XVI do dziś — jest w istocie żadna, albo prawie żadna.

Weźmy Zbyszewskiego, którego również do „pesymistów" wypada zaliczyć. Jemu wystarcza 10 tysięcy, no — powiedzmy hojnie — 20 tysięcy łajdaków z królem na czele, by doprowadzić naród, wówczas dziesięcio milionowy do kompletnego upadku, nawet jeżeli ten upadek nastąpił faktycznie już na sto lat zgórą przed momentem formalnej likwidacji Państwa. Takim stanowiskiem przyłącza się Zbyszewski do historyków stojących na gruncie hipotezy „wad narodowych". Ale Zbyszewski idzie „dalej". Wed-

ług niego zawiniło również duchowieństwo, które wraz ze szlachtą źle pojęło katolicyzm, jak powiada w przedmowie. To już jest oryginalna hipoteza Zbyszewskiego, h i p o t e z a „w a d k a t o l i c y z m u". Niewątpliwy postęp. A więc „źle pojęty katolicyzm". Zbyszewski zbyt dobrze, zbyt głęboko wczuł się w badaną epokę, by nie zauważyć oddziaływań takiej siły społecznej, jaką jest katolicyzm. I choć zdaje się nie pojmować nadal właściwej roli katolicyzmu, jako j e d y n e g o systemu kulturalnego, jedynego w tym czasie dla Polaków systemu wszelkiego wartościowania, a więc problemów tak jednostki, jak i narodu, — to jednak jego myśl badawcza na każdym kroku napotyka na oczywisty wpływ wywierany przez system „prawd objawionych" na przebieg procesów życia społecznego Narodu. Zbyszewski wpływ ten stwierdza. Co więcej! Acz nieśmiało (tak musimy rozumieć jego zastrzeżenia przeciwko ewentualnym zarzutom), to jednak wyraźnie ocenia, że w epoce saskiej wpływ ten katolicyzmu na życie polskie był zdecydowanie ujemny. — Ale od tego punktu zaczyna się już dla Zbyszewskiego labirynt świadomości, w którym poczyna błądzić, pociągając za sobą na manowce myśli bezkrytycznego czytelnika.

W czym bowiem rzecz?

Powiada Zbyszewski, że jest człowiekiem głęboko religijnym, chcąc przez to oczywiście powiedzieć, że jest wierzącym katolikiem. Być wierzącym katolikiem, to znaczy uznawać za najwyższe, za absolutne, za najwięcej warte Objawienie, Ewangelie, dogmaty, „Świętych obcowanie", naukę Kościoła, autorytety kierowników Kościoła (choćby tylko dogmat o nieomylności papieża), słowem te wszystkie wartości, które na istotę Katolicyzmu się składają. Oczywiście punkt ciężkości tkwi nie w organizacji, ani w zewnętrznych formach kultu religijnego, ale w samej treści Katolicyzmu, w jego założeniach światopoglądowych i rozwiązaniach ideowych, w jego niezwykle harmonijnie uformowanej strukturze ideowej, niezmiennej od czasów, kiedy prawdy jego zostały, jak mówi nauka kościoła, przez Jehowę objawione. Katolik te wszelkie wartości uznaje za najwyższe; przez nie ocenia treść swego człowieczeństwa, przez nie pojmuje Byt, one dają mu cele, o które w życiu należy się ubiegać, by osiągnąć cel ostateczny t. zn. uzasadnić sens swego istnienia; te wartości stanowią o jego świadomości, są a b s o l u t e m j e g o ś w i a d o m o ś c i.

Jakże więc Zbyszewski katolik, dopóki nim jest, może te wartości oceniać ujemnie. Jakie ma i n n e kryteria, aby to mógł uczynić? I dla tego, choćby Zbyszewski jako historyk widział dowody spustoszenia, jakie katolicyzm sprawił w życiu Narodu Polskiego, to jednak Zbyszewski - katolik a priori nie jest w możności winić zasad tego systemu duchowego bo przecież stanowi on absolut jego świadomości. Co więc mu pozostaje uczynić? Jak rozsupłać ten węzeł gordyjski?

Powiada mianowicie Zbyszewski, że Polacy z epoki saskiej źle pojęli katolicyzm, sugeruje więc wniosek, że gdyby go pojęli właściwie to Polska miast upaść, stałaby się potężną. Cóż można na to odpowiedzieć Zbyszewskiemu, skoro jedynie słuszna odpowiedź jest dla niego, jako katolika nie do przyjęcia. Można mu tylko wskazać na wręcz odmienny niż jego, sąd Mickiewicza, o którym wyżej wspominaliśmy. Można go zapewnić, że aby pojąć katolicyzm w ł a ś c i w i e, trzeba n i e b y ć k a t o l i k i e m; trzeba być w sytuacji obserwatora, a nie obserwowanego, chyba... chyba, że się jest na miarę Mickiewicza, albo na miarę wybitnych dostojników Kościoła, na miarę jego wielkich teologów, na miarę wreszcie zmarłego Papieża Piusa XI, który wśród wielu niezwykle trafnych wypowiedzi na temat istoty katolicyzmu, stwierdził ponad wszelką wątpliwość ścisłe pokrewieństwo ideowe katolicyzmu ze starym Judaizmem.

Wymienione kręgi katolickie zdają sobie dobrze sprawę z tego, że katolicyzm, jako koncepcja życia jest w swojej istocie wrogiem tego, czemu dają wyraz narody rasy białej, aryjskiej, gdy w oparciu o swe zróżnicowane środowiska stwarzają potężne cywilizacje. Przecież ostatnie 500 lat historii Europy, to stałe cofanie się wpływów ideowych katolicyzmu na korzyść odradzających się świadomości narodowych, będących motorem postępu i narastania twórczości.

I jeszcze jedno, z czego Zbyszewski-historyk winien zdawać sobie sprawę: katolicyzm jest systemem duchowym całościowym, skończonym, o harmonijnej architekturze zarówno w sferze dogmatyki, jak i w swej myśli

filozoficznej i społecznej; układ kulturalny na nim wsparty rodzi trwałe tendencje jemu tylko właściwe; tu nie ma mowy o jakimś dobrym, lub złym pojmowaniu w skali powszechnej. Katolicyzm może być źle lub dobrze pojęty przez jednostkę, przez tysiąc jednostek, przez sto tysięcy jednostek, ale nie przez Naród. Tylko jednostka może ważyć w swoim sumieniu czy pójść śladem, sławionego przez Skargę św. Słupnika, czy też ograniczyć się do przesuwania kółek różańca, choć i tu mamy do czynienia jedynie z różnicami ilościowymi, a nie jakościowymi. Naród wyboru nie ma. Zamiast niego decyduje sama dialektyka rozwoju. Z tego to, powiadamy, winien sobie zdawać sprawę Zbyszewski-historyk. Od Zbyszewskiego-katolika znajomości tych rzeczy nie mamy prawa wymagać. W szerokich kołach katolickich panuje kompletna ignorancja w tej dziedzinie, niby dlaczego Zbyszewski-katolik ma być wyjątkiem? Weźmy choćby takiego jezuitę jak Ojciec Wawryn, redaktor „Wiary i życia", który plecie androny o jakichś „śmietniskach i podziemiach" Kościoła. Jakie to śmietniska ma Kościół, Ojcze duchowny, bo my dalibóg ich dotychczas nie zauważyliśmy, a może wiadomości o nich przydałyby się nam do walki, którą prowadzimy?

Zbyszewski - katolik, kurczowo trzymający się absolutu swojej świadomości powiada nam wreszcie (wciąż powołujemy się na jego przedmowę): „Kościół mimo niżów nic nie stracił ze swej powagi świetności, tym wspanialej to o nim świadczy" Jest to największy banał, jaki można spotkać w argumentacji katolików, nie tylko takich, którzy wierzą w Boga, bo i takich jest wiele, bardzo wiele. I na to trzeba odpowiedzieć, choć zgóry przecie wiemy że interlokutora nie podobna przekonać.

Zagadka „wieczności" Kościoła, tajemnica trwałej aktualności jego nauki tkwi w tym, że Katolicyzm jest doskonałym systemem duchowym, organizującym pewne trwałe skłonności natury człowieka. Katolicyzm, oparty w swych istotnych założeniach na prawdach Starego Judaizmu, dał najlepsze rozwiązanie ideowe dla postaw wegetatywnych człowieka, tych postaw, którym należy przeciwstawić postawy twórcze, dynamiczne. Dla tego to Katolicyzm szczególnie obfite zbiera żniwo tam, gdzie załamują się jakieś wielkie systemy cywilizacyjne. Człowiek jest wegetacją i twórczością. O wegetację wspiera się katolicyzm. Wegetacja trwa „wiecznie", a przynajmniej tak długo jak trwa człowiek. Stąd „wieczność" Katolicyzmu. Okresy wielkiej twórczości cywilizacyjnej są stosunkowo krótkie i nie liczne. Stąd ciągłe Katolicyzmu nawroty. Historia ostatnich dwuch tysięcy lat to zapasy woli Twórczości z oporami Wegetacji, zapasy Wielkości z Małością. Katolicyzm nie ma nic wspólnego z Wielkością.

A pozatem, Zbyszewski - katolik nie wie, ale wie każdy wybitny teolog katolicki, wie również niekatolik, że siła katolicyzmu polega właśnie na tym, że grupie społecznej, którą opanuje, nie stwarza on w ogóle problemu „dobrze lub źle pojąć". To już zostało raz na zawsze rozstrzygnięte w podstawowych założeniach tego systemu. Tu naród nie ma nic do gadania. Gdyby było inaczej, katolicyzm w oczekiwaniu na wyczerpanie się prężności ludów europejskich, trwał by teraz w defenzywie, byłby jedynie ucieczką chorych, kalek, nędzarzy, starców, kobiet. Historia dała nam dostatecznie przekonywujące dowody na to, że narody, skoro poczynają zastanawiać się nad tym, jak pojąć Katolicyzm, to tym samym od niego odchodzą w ogóle, odrzucają go precz. To narody mają swoje śmietniska, proszę Ojca, a nie Kościół.

W Polsce modnie jest wołać o idee. Ale papuzie mózgi wciąż nie zdają sobie najmniejszej sprawy z wagi i konsekwencyj jakie z każdym problemem idei się łączą. Przecież Katolicyzm jest również ideą, i to jaką jeszcze. Przecież ta idea rządzi Polską totalnie od kilku wieków. Innej nie ma. Skoro mówimy wciąż, że idee rządzą narodami, to jaka idea rządzi Polską? Czyż nie wiadomo komu należy wystawić rachunek za nasze bezdzieje? Zrzucanie winy na biskupów czy na duchowieństwo jest tylko wyrazem zupełnej bezradności myślowej wobec problemu naszych dziejów. To tak jakby ktoś uzasadniał przyczyny upadku niepodległości Czech tym, że, był taki p. Haha, czy 100 Hahów.

Dlatego wszelkie opracowanie fragmentów naszej historii, choćby były najlepsze, a do

takich zaliczyć należy i „Niemcewicza", — nie przyniosą żadnego pożytku, gdy im odbierze się sens wszelki w... przedmowach... Bo cóż za pożytek może być z książki Zbyszewskiego, jeżeli brać poważnie tę przedmowę do niej? Chyba tylko tyle, że rozmaitym potomkom nobilitowanych przez Stanisława Augusta żydów, rozmaitym półsemitom odechce się zapowietrzać Polskę zapachem jego zepsutego cielska. Na Wawel pchać!

Zbyszewski pokazał nam w swojej pracy jedynie marionetki bezduszne a o sprzężynach i ukrytych siłach kierowniczych czytelnik sam sobie zdanie wyrobi. Nie trza jeno czytelnika zwodzić. Pokazał bohaterów „wesołej Polski" a uczynił to tak, że.. chapeau bas... Ale co z Narodem polskim? Co z jego świadomością? Na to pytanie Zbyszewski nie potrzebuje nam już odpowiadać. To jest pytanie retoryczne tylko.

Wiemy przecież, że Naród, okradziony z duszy za cenę rzeczy nieuchwytnych, jak mówi Wyspiański w „Wyzwoleniu", nie miał swojej świadomości i nie mógł jej mieć. Nie wiedział i nie mógł wiedzieć, że osiągał sytość duchową i nadzieje na zbawienie wieczne kosztem swojej egzystencji, kosztem swoich przeznaczeń dziejowych, które przecież nie mogły wynikać z ideologii maluczkich, z pojęć Starego i Nowego Judaizmu, krótko — z Katolicyzmu.

Jakież to kryteria składały się na samowiedzę Narodu? Czy do czasów epoki saskiej zdołało uchować się coś z jego dawnej samorodnej, przedchrześcijańskiej, ideologii tężyzny? Czy pozostały jakieś choćby wyobrażenia o dawnych wojskowych zadrugach zdobywczych plemion lechickich? Czy pozostało coś z instynktu państwowego Mieszków, Chrobrych, którzy choć z wodą święconą się zapoznali, to jednak nic nie stracili ze swego światopoglądu naturalistycznego, pogańskiego i nie mogą być uznani za zdolnych do właściwego pojmowania katolicyzmu. Czy pozostało coś z dawnych Bogów słowiańskich, które symbolizowały moc Natury, sławiły potęgę żywiołów, nakazując człowiekowi ich opanowanie.

Nie łudźmy się. Katolicyzm w imię Krzyża wszystko to wytępił. Z azjatycką zaciekłością nie tylko porozbijano posągi Bogów i wytrzebiono wierzenia, ale również zniszczono cały wogóle rodzimy dorobek cywilizacyjny i kulturalny. Cudem ocalałe, mizerne resztki przygarnęła miłośnie Matka — Ziemia. Oddaje nam teraz czasem jakieś nędzne skorupki. Relikwie Sławiańszczyzny.

Na ogołoconej do cna glebie etnicznej usadowiła się najbardziej obca sadzonka duchowa, rozpoczynając erę swojego panowania. Nie prędko dała jednak radę żywotnym siłom sławiańskiego Biosu. Pierwsze wieki po zaistnieniu tej tragicznej symbiozy, stają się świadkami rozpaczliwych zapasów, które Naród toczy z narzuconym mu i stopniowo go obezwładniającym systemem duchowym. Widzimy przede wszystkim wspaniały wybuch w Buncie Masława. Widzimy jeszcze czyny, na miarę dziejową zakrojone, ale już tych czynów co wiek to mniej. Ostatnie próby wyzwolenia się spostrzegamy w okresie Reformacji. Ale do tego czasu Katolicyzm schlebiając szlachcie, stał się już decydującym dysponentem politycznym w państwie. Elementy sobie wrogie skazał na wygnanie z kraju. Kto nie uszedł, zginął od miecza. Odtąd, zdynamizowany katolicyzm Hozjusza stał się w Polsce totalnym. Jezuici dopełnili reszty. Po za glebą etniczną sławiańską nie pozostało nic, coby nie było Katolicyzmem. Naród stracił duszę. Stracił samowiedzę.

Został przytym potwornie oszukany. Omamiono Go, że wraz z Chrztem wejdzie na prawach równego do narodów „nowoczesnych", „ucywilizowanych", że otrzyma jakąś tam „cywilizację rzymską", „zachodnią". Nim to nastąpiło — stracił niezależny byt państwowy.

Piniński.

Człowiek charakteru i czynu

Pod takim tytułem ukazała się niedawno nakładem Towarzystwa Wiedzy Wojskowej broszura Kazimierza Ryzińskiego. Autor porusza problem, wobec którego każdy, patrzący trzeźwo na rzeczywistość polską nie może pozostać obojętnym. Niesłychanie ważki to problem. Zahaczając o najwyższe dziedziny metafizyki, wiąże się on ściśle z zagadnieniem naszego bytu narodowego. W rozwiązaniu tego problemu leży klucz do rozwikłania zagadki dziejowej Polski, znalezienia prawdy o polskim dziś i o polskim wczoraj, jakże straszliwie przez wrogie Narodowi moce zakłamanym. Zagadnienie to jest przedmiotem wykładanej już drugi rok na łamach „Zadrugi" „teorii rozwoju wewnętrznego Polski". Na tle tej teorii spróbójmy zanalizować temat wywodów autora wymienionej broszury.

Najpierw parę rozważań wstępnych.

CO TO JEST CHARAKTER CZŁOWIEKA?

Charakter jest to suma dyspozycji duchowych jednostki. Człowiek posiada powłokę cielesną, fizyczną, posiada też — i to właśnie decyduje o jego człowieczeństwie — sferę niematerialną, duchową, owe „ja". Powłokę fizyczną interesującego nas osobnika możemy widzieć, dotykać, odczuć. Mówimy: ten jest blondyn, wysoki, ciężki. Treści duchowe, czyli charakter tegoż osobnika nie dają się spostrzec w równie prosty, bezpośredni sposób, gdyż są niematerialne. Nie znaczy to jednak, by były niepoznawalne.

Widząc zdrowego młodzieńca, uzbrojonego w laskę i ze strachem umykającego przed psem, powiemy, że jest to tchórz. Leniem nazwiemy gospodarza, który puszczając mimo uszu przestrogę sąsiada, iż zbliża się burza, nie poniecha poobiedniej drzemki i dopuści do zgnicia niesprzątniętego w czas siana. W obu wypadkach dokonaliśmy osądu treści duchowych, niematerialnych człowieka drogą obserwacji zachowania się jego w świecie zjawisk matrialnych. Stąd wniosek prosty, że o sposobie zachowania się, o typie aktywności życiowej człowieka decyduje jego charakter, typ duchowy. Pomiędzy działalnością jednostki, a jej typem duchowym istnieje ścisły związek przyczynowy.

Idźmy dalej, sięgnijmy po następne ogniwo łańcucha przyczyn. Zapytajmy się z kolei: od czego zależy typ duchowy jednostki, jak powstaje charakter?

JAK POWSTAJE CHARAKTER?

Człowiek, przychodząc na świat jest kartą niezapisaną, gliną, którą można ulepić tak, lub inaczej. W praktyce wygląda to tak, że, ponieważ jednostka rodzi się i żyje w jakiejś grupie (narodzie), tym samym styl duchowy tej grupy wyciska przemożne swoje piętno na wszystkich noworodzących się, wyrastających w obrębie grupy osobnikach. Możliwości uchowania się „wyrodka" o profilu duchowym innym, niż ten, jaki stwarza panująca ideologia grupy, są znikome. Cóż to jest ta ideologia grupy? Ideologia grupy, czyli typ kulturowy jest to wspólny wszystkim członkom grupy światopogląd. Jest to zorganizowany system odpowiedzi na najbardziej podstawowe zagadnienia życia ludzkiego: co to jest człowiek, po co żyje, jakie jest jego miejsce w wszechświecie, co jest dobrem najwyższym itd. Fundamentalną częścią każdego światopoglądu jest takie, lub inne wyobrażenie absolutu, wartości najwyższej. W zarysowaniu wizji tego absolutu i w określeniu stosunku doń człowieka wyczerpuje się istota światopoglądu. Ideały, normujące postępowanie jednostki na codzień, jakie sobie w życiu stawia, są już tylko logiczną dedukcją z powyższych podstawowych założeń światopoglądowych. Życie człowieka nie jest niczym innym, jak tylko realizowaniem, bardziej lub mniej świadomym, ideałów, przez wyznawany światopogląd narzucanych. Natężenie realizacji posiadanych ideałów, temperatura żarzenia się ich wewnątrz jaźni człowieka zależy, co silnie trzeba podkreślić, od jakości tych ideałów, tym samym od jakości światopoglądu. Światopogląd, rysujący wizje Wielkości, porwie każdego zdrowego człowieka, uczyni go zdolnym do największych wysiłków i poświęceń. Odwrotnie, mit, będący syntezą wszelakiej małości człowieczej z lubością zostanie przyjęty przez karłów duchowych, jako coś, co by nędzą ich marnego wegetowania, we własnych przynajmniej, skarlałych duszach, jako tako usprawiedliwiało. Taki mit, a raczej submit, nie stanie się nigdy motorem dziejów. Dziejów nie tworzy podły rab.

Jakże inaczej w wietle powyższego wygląda pojecie fanatyzmu, to tak niepopularne u nas słowo. Czym że jest bowiem fanatyzm, jeśli nie stałą gotowością psychiczną do wytężonego, bezkompromisowego realizowania żywo odczuwanych, mocno umiłowanych ideałów? Fanatykiem nie będzie eunuch duchowy. Fanatyzm jest udziałem tych, którzy wiedzą czego chcą, mają wolę i odwagę osiągnięcia postawionych sobie celów.

O tym, czy w danym środowisku rodzić i wychowywać się będą fanatycy, czy też duchowi bezpłciowcy — decyduje istniejąca w tym środowisku ideologia grupy. Przemożne jej działanie jest wszechstronne: religia, moralność, etyka, nauka, sztuka, polityka, gospodarstwo, język, system wychowawczy, zwyczaje itd., słowem — całokształt życia człowieka nosi na sobie niezatarte piętno panującej ideologii grupy. Na podobieństwo mechanicznej sztancy odbija ona z przerabianego w swych trybach surowca ludzkiego miliony jednakowych, standaryzowanych egzemplarzy-osobników. Jest to podstawowa prawda socjologii.

Rozpatrzyliśmy w ogólnych rzutach mechanizm powstawania charakteru jednostki. Zbliżamy się do interesującego nas zagadnienia: jaki jest charakter dzisiejszego Polaka i przez jaką ideologię grupy został ukształtowany?

TYP POLSKIEJ PRZECIĘTNEJ SPOŁECZNEJ.

Określa go autor broszury w ten sposób: „...Niestety, jesteśmy na ogół narodem biernym. Byliśmy nim przez całe wieki naszej historii. Chlubimy się, żeśmy nigdy wojny zaborczej nie prowadzili, a przecież było to następstwem braku prężności, zdobywczości i ducha ekspansji w narodzie, wynikało z naszej bierności. Bardzo ujemną tę cechę narodową podnieśliśmy do godności jakiejś nadzwyczajnej cnoty". ...„Krzyczymy głosem wielkim o braku motoryzacji, a czemuż nikt fabryki samochodów nie zakłada. Narzekamy na etatyzm, a dlaczego kapitał prywatny nie buduje okrętów, fabryk sprzętu wojennego itd. — Bo bierność jest w narodzie. Z bierności tej rodzi się bojaźń przed wszelkim ryzykiem, przed braniem na siebie odpowiedzialności i w ogóle przed życiem".

Tak się przedstawia i tak się przedstawiać musi obraz naszego życia każdemu, kto ma odwagę spojrzenia rzeczywistości prosto w twarz. Niektórzy to czynią. I rzecz napozór dziwna: przeciętny inteligent polski nie zaoponuje, owszem, zgodzi się łaskawie, że rzeczywistość swoją urabia sobie naród sam. Zgodzi się też, że pomiędzy czynem ludzkim, a jego motorem, duchem ludzkim, istnieje nierozerwalny związek. Ale... i to jest właśnie fenomenalne: gdy takiego pana przyprzemy do muru i zażądamy, by patrząc na rzeczywistość polska, wyciągnął wnioski co do motoru duchowego, tąż rzeczywistość stwarzającego — to wówczas nasz rozmówca zaczyna wyczyniać takie łamańce logiki, że wszelka dyskusja z punktu się urywa. Zaborcy... panie dzieju... kryzys,... panie dzieju... itp. bzdury. Mamy tu do czynienia z absolutem świadomości narodowej, istotę którego to zjawiska „Zadruga" niejednokrotnie już wyjaśniała.

JAK UKSZTAŁTOWAŁ SIĘ TYP DZISIEJSZEGO POLAKA?

Krystalizowanie się form kulturowych, epok cywilizacyjnych, jest dziełem wieków. Wchodzą tu w grę całe pokolenia. W dziedzinie procesów kulturotwórczych istnieje stała dążność do stabilizacji. Nowe syntezy dziejotwórcze rodzą się z trudem i powoli, w ogniu walki z formami zastanymi zdobywają teren w świadomości milionów. Dlatego, badając aktualny typ kulturowy danego narodu, czyli jego ideologię grupy, musimy sięgnąć wstecz, badać cały okres historyczny, efektem którego jest interesująca nas rzeczywistość.

Odnosząc powyższe do Polski, stwierdzamy, że w Polsce Odrodzonej, to znaczy w latach 1918—1939 nie dokonał się, bo dokonać się nie mógł, żaden przewrót cywilizacyjno-kulturowy. Znaczy to dalej, że typ dzisiejszego Polaka w swym zasadniczym trzonie jest taki sam, a więc nie różni się niczym od tego typu Polaka, który panował w poprzednich stuleciach. O tym zaś, jaki był typ polski poprzednich stuleci, to jest wieku XIX, XVIII i XVII, — zadecydował ów przewrót kulturalny, który w XVI wieku dokonał się na ziemiach polskich. Było to zwycięstwo Katolicyzmu w Polsce, skutkiem czego prostą już konsekwencją było bardzo intensywne skatoliczenie narodowej duszy polskiej w wiekach następnych. Zaszczepiony wówczas, a wykrystalizowany następnie w ciągu XVII i XVIII w. (epoka saska) typ kulturowy, tak zwany polski, w istocie zaś swej katolicki, przetrwał okres rozbiorów, i dziś w Polsce Odrodzonej, od dwudziestu już przeszło lat kształtuje życie polskie według swego, jakże dobrze znanego wzorca.

Polskę ogarnia dziś żywiołowo fala katolicyzmu. Co to znaczy? To znaczy, że zdążamy szybkim krokiem do stanu rzeczy, jaki już mieliśmy w epoce saskiej, kiedy to skatoliczenie polskiej ideologii grupy, narodowej duszy zbiorowej, wraz z konsekwencjami tego skatoliczenia w życiu Narodu, dosięgło swego szczytu.

Nie dziw tedy, że odzywają się, nieliczne wprawdzie, głosy, świadczące o świadomości wagi położenia. Do głosów tych zaliczamy omawiana broszurkę. — „Potrzebna jest wielka idea, która by ogarnęła cały naród, rozpaliła w nim zapał i entuzjazm czynu..." — „...Trzeba więc rozniecić w Polsce potężny ruch odrodzenia człowieka, ruch, któryby siłą żywiołu objął cały naród". ...„Nowy człowiek musi w Polsce wyróść". — Taki postulat stawia autor i na tym kończy.

Jakie stąd jednak płyną konsekwencje? Po prostu takie: nowy człowiek może się narodzić tylko i wyłącznie w kręgu n o w e j ideologii grupy, może być produktem tylko i wyłącznie n o w e g o typu kulturowego. To właśnie istniejący dziś w Polsce typ kulturowy produkuje człowieka, którego jakość nie zadawala autora. A więc? Kto chce wychować nowego, wydajniejszego życiowo, lepszego człowieka, musi odrzucić to wszystko, co ową lichotę ludzką nieprzerwanie od kilku wieków produkuje. Innej rady nie ma. Albo — albo. Zagadnienie nowego człowieka w Polsce — to tylko i wyłącznie tylko zagadnienie nowej kultury ,nowego mitu, nowego światopoglądu. Dzisiejszy światopogląd, tak zwany polski — to katolicyzm. Kto ma odwagę wysnucia wniosków do końca — niech to uczyni. Taki jest nakaz poczucia odpowiedzialności dziejowej za Naród.

Na marginesie tematu godzi się zanotować fakt, który można by nazwać komicznym, gdyby nie był tak kcszmarnym. Oto sprytni niewolnicy duchowi judaizmu z „Wielkiej Polski" — w ukazaniu się broszurki Ryzińskiego zwęszyli w mig interes. Trzebno Idei? — Mi mamy. — Czytamy więc w „Wielkiej Polsce", w zeszycie marcowym następującą ofertę: ...„Brak tej idei daje się odczuć w części broszury, omawiającej charakter nowego Polaka. W hierarchii celów jednostki, naszym zdaniem, na pierwszym miejscu należy postawić drogę do Boga, a katolickie państwo polskiego Narodu dzięki najpełniejszemu zespoleniu swej pracy z uniwersalną (z uniwersalną — sic!) ideą katolicką, będzie przodować innym narodom..."

Taka jest oto recepta na nowe wydanie nowego... herosa z epoki saskiej...

M. Nowica

U podstaw światopoglądu

Często się słyszy zdanie, pochodzące z kół katolickich, że jest profanacją nadawanie nazwy „święto" uroczystościom świeckim, np. „święto narodowe", „święto morza", „święto gór" itp., gdyż nazwa ta jakoby przysługuje jedynie uroczystym obchodom tajemnic chrześcijańskich. Oburzenie to jest, co najmniej, nie uzasadnione.

Wyraz „święty" jest prastary i był używany u Słowian, zanim ich naturalny światopogląd został zniekształcony przez nacierające chrześcijaństwo. „Świętymi" były dla Słowian wyobrażenia i rzeczy zupełnie inne od tych, jakie się później w schrystianizowanym świecie tym terminem mianowało. Tak zresztą, jak słowu „święty" nadano zupełnie inne znaczenie, tak wypaczoną została cała Słowiańszczyzna.

Rzućmy więc okiem w dziedzinę starych słowiańskich świętości.

Przed tym jednak, dla możliwości porównania i oceny, przypatrzmy się pochodzeniu i pojmowaniu „świętości" w chrześcijaństwie. Pojęcie „świętości" chrześcijańskiej, sprecyzowane od dawna przez teoretyków chrześcijaństwa, omawia w Nr. 8 jezuickiej „Wiary i Życia" ks. Br. Bojułka T. J. Rodowód swój wywodzi ono ze starozakonnego żydostwa. „Pojęcie świętości, nawskroś biblijne, jest czymś bardzo charakterystycznym w religii chrześcijańskiej" — pisze wspomniany autor. „Świętym" nazywa biblia Boga - Jahwe. Termin „święty" wyraża, że Jahwe jest czymś zupełnie odrębnym od rzeczy ziemskich, od istoty tego świata, „czymś stanowczo oddzielonym i wyróżnionym od innych, czymś co z u p e ł n i e j e s t p o z a i c h s e r i ą", że „On właśnie Jedyny nie jest podobny do niczego ze znanych nam rzeczy, jest całkiem Inny", że „nie da się porównać z żadnym stworzeniem", że nie zdoła go „pojąć jakakolwiek myśl **stworzona**", że jest „Niepojęty" i „Tajemniczy". Ta niepojęta wielkość Jahwe, Istoty będącej poza wymiarami wszystkiego, co stanowi istotę tego świata, „przejmuje jakimś strachem i drżeniem. Stworzenie czuje wobec niej swoją nicość i marność. Równocześnie jednak ta niewysłowiona doskonałość, zupełnie inna niż te ziemskie, znane nam wielkości, nie odstrasza i nie odpycha, ale raczej nieodparcie pociąga, zachwyca".

„Świętymi" nazywa biblia również ludzi i rzeczy. Jeśli idzie o rzeczy, to zasadnicza idea ich „świętości" polega na tym samym, t. j. że zostały one oddzielone, wyodrębnione od przedmiotów codziennego użytku, a przeznaczone wyłącznie dla kultu Jahwe, na **jego własność** oddane. Podobnie z ludźmi. W Starym Zakonie cały Izrael nazwany bywa „świętym", **nie ze względu na swoją wartość i zasługi**, lecz dlatego, że go wybrał sobie Jahwe na szczególnego sługę i narzędzie, ażeby w pośród morza ludów pogańskich strzegł wiary w jedynego Boga, niósł ze sobą nadzieję Mesjasza, był zarzewiem prawdy i światła Bożego, które miały przezeń ogarnąć później całą ludzkość".

Autor rozwija dalej treść starozakonnego pojęcia „świętości". „Pierwszym i zasadniczym momentem jest tu wybór przez Jahwę, który czyni daną osobę swoją szczególną własnością, p r z e z n a c z a j ą w y ł ą c z n i e d l a s i e b i e". ...„Ludzie zaś wybrani, „święci Bogu" mają także w swym moralnym postępowaniu okazywać się godnymi tej specjalnej przynależności do Niego, starać się o doskonałość osobistą taką, jaka przystoi tym, którzy są „odddanymi" Bogu. Wszakże nie ta doskonałość stanowi właściwą świętość. Jest raczej w y n i k i e m, albo też p o s t u l a t e m, j a k i e g o d o m a g a s i ę ś w i ę t o ś ć, czyli specjalna przynależność do Boga. Człowiek ma być doskonały, ponieważ jest „święty", oddany Bogu! To pojęcie, udoskonalone w swej treści wewnętrznej, przechodzi do Nowego Zakonu. Tutaj wszyscy chrześcijanie są „święci", bo wybrani przez Boga, stają się Jego szczególną własnością przez wiarę i chrzest, w którym mistycznie umierają danemu grzesznemu życiu".

Zwracamy uwagę naszym czytelnikom na ten charakterystyczny u Żydów — a za nimi

i w chrześcijaństwie — formalizm w pojmowaniu „świętości", jako **własności** Boga, tak bardzo daleki i obcy duszy ludów aryjskich. Nie wartość i zasługa stanowią o „świętości" Izraela, lecz wybranie jego przez Jahwę. Tak samo obcym jest dualistyczne pojmowanie życia, upatrujące Boga osobowego całkowicie wyodrębnionego od świata, który jakoby jest jego dziełem, a przecież w jakiś niezrozumiały sposób stał się jego antytezą. Wskutek tego, jeżeli coś (osoba lub rzecz) ma być „specjalną własnością" wszechmocnego Jahwe, czyli „świętym", musi zostać wybrane, wyodrębnione, wydzielone ze świata. I wówczas to coś tym samym przepada dla świata. (W tym już tkwi zarodek chrześcijańskiej negacji życia). Jako kres takiego „przebóstwienia" „rzeczy stworzonych" rysuje się zanik człowieka i świata. Zaistnienie i rozwinięcie takiego światopoglądu przedstawia się jako koszmarne zbłądzenie umysłu ludzkiego. Wyraża się w nim to, co jest w człowieku bezradnością i nieudolnością wobec zagadnień Bytu oraz niechęć do wzięcia odpowiedzialności za losy swoje i świata.

Na tle pojęcia „świętości" w chrześcijaństwie, któreśmy omówili, wystąpi tym wyraźniej pojęcie „świętości" u naszych słowiańskich przodków. U nich wyraz „święty" oznaczał pierwotnie to samo co jary, t. j. silny (Brückner), znaczenia kościelnego, „sanctus", dopiero nabrał przez chrześcijaństwo (Brückner). Naczelne Bóstwo słowiańskie ognia i słońca poza innymi nazwami (Swaróg, Dadźbóg), nosiło także imię Jarowit, Świętowit (Brückner).x) W tych imionach, jednych z nielicznych ocalałych szczątków słowiańskiego dorobku kulturalnego z przed tysiąca lat, zarysowuje się nam treść wiary przodków naszych.

W Swarogu swarzy się ogień, groźny jako żywioł pożaru niszczycielskiego, oślepiający w błyskawicy, a dobroczynny, twórczy ręką ludzką wzniecany, pilnowany, czczony. Łaskawym promieniem słonecznym błogosławi Dadźbóg pracę w pocie czoła i wysiłek człowieka, uprawiającego ziemię. I darzy go słoneczny Bóg szczęściem i bogactwem swoim, zbożem (Brückner). W imionach Jarowit i Świętowit (jary = święty, wit = byt, Brücner), przejawia się jakby pewna próba filozoficznego zbliżenia się do zagadnienia bytu.

Dźwięczy w nich nuta tęsknoty do siły, mocy, wielkości jako do najwyższego ideału. Stąd opowiadanie o tym, że dawni Sławianie byli spokojnym, potulnym ludkiem, jakby z natury do ideałów ewangelicznych predystynowanym, jest kłamliwą sugestią, szerzoną przez zwolenników „cichości i pokory".

Pogląd na świat Słowian przedchrześcijańskich, podobnie jak u innych aryjskich ludów, był na wskroś panteistyczny, t. zn., iż widzieli oni Boga nie jako istotę wyodrębnioną, różniącą się od świata, lecz działającą w nim i poprzez niego. Na nieszczęście przez szczególny zbieg zdarzeń i okoliczności, chrześcijaństwo zdołało wytrącić Słowian z drogi kulturalnej, jaką by byli kroczyli zgodnie z założeniami swych wierzeń panteistycznych, z ich duszy wyrastających. Od tych wierzeń bowiem, konsekwentnie musieliby dojść do świadomości działających w człowieku boskich sił, twórczych popędów, pchających człowieka do wielkiej, odpowiedzialnej twórczości cywilizacyjnej. Oczywistym jest dla każdego, kto chce widzieć, że wszystko co nazywamy nauką nowoczesną, zwłaszcza nauki przyrodnicze i wszystkie zdobycze i postęp cywilizacyjny na nich oparty (od starożytnych Greków do dnia dzisiejszego) wywodzą ród swój z postawy panteistycznej wobec Bytu, a obce są zasadniczo postawie szukającej Boga, ostatecznego celu poza światem, w którym żyjemy.

Te sprawy nie są jasne nam, którzy od tysiąca lat znajdujemy się pod obstrzałem semicko - małoazjatyckich idei. Jak zaś ta ofensywa ze wschodu idąca rozwijała się osiągała swoje zamierzenia, możemy widzieć namacalnie na losach, jakie spotkały pojęcie „święty". Wymawiamy to słowo jak nasi przodkowie przed tysiącem lat i dawniej, a jednak oznacza ono dziś co innego. Pierwotny jego sens: jary, silny — został zatracony i dziś wyraz ten służy do określenia cnotliwości chrześcijańskiej. Akcja niszczenia starych wierzeń i świętości słowiańskich, względnie podkładania im obcych treści, szła nieraz wielce osobliwymi drogami.

Nie mogąc np. wykorzenić wśród ludu czci dla Boga słońca i wojny **Świętowita**, podsunięto na miejsce zniszczonego bożka relikwie **„św. Wita"**, patrona epileptyków. Po przeprowadzeniu tej „małej zmiany", łatwiej by-

x) Brückner — stał się autorytetem! [illegible]

ło przyzwyczaić opornych pogan do kultu chrześcijańskiego, zwłaszcza, jeśli uroczystość nowego „świętego" ustalono na dzień, albo w pobliżu święta jego poprzednika i atrybuty — symbole pogańskiego Bóstwa (kogut) dostały się „świętemu". Cześć należną Bogu Świętowitowi oddawano odtąd, „świętemu Witowi". (Wg. W. Bogusławskiego uroczystość Świętowita obchodzono w dzień przesilenia letniego, dzień najwyższego podniesienia słońca. Wizerunek Świętowita zburzony został w dzień Św. Wita, przypadający dziś na 15 czerwca, przed wprowadzeniem jednak kalendarza gregoriańskiego, był to najdłuższy dzień lata. Że zaś dzień ten był dniem triumfu słońca i ziemi, t. j. ognia i wody, więc obchodzono go paleniem ognisk i kąpielą religijną, kościół zastosował do tego dnia także swoje „święto" — Jana Chrzciciela).

U Słowian bałkańskich i na Rusi gromowładny Perun (litewski Perkunas) „następcę" znalazł w św. Eliaszu, proroku żydowskim, po swojskiemu św. Ilią zwanym. Bliski Bałkanom Helios grecki nie mało się przyczynił do ułatwienia Eliaszowi wjazdu ze swoim wozem ognistym na ziemie południowo - wschodniej Słowiańszczyzny (Brückner). Podobny los spotkał wszystkich bogów pogańskich. Częściowo dostali się na ołtarze kościołów chrześcijańskich, ukrywając się pod postaciami różnych „świętych", których lud wierny wyposażył w moce i symbole dawnych swych bogów.

„Świętym" o wybitnie mitycznym charakterze (nigdy też nie żył rzeczywiście) jest św. Jerzy, rycerz kapadocki, pogromca smoka, który wykazuje rysy Apollona Greckiego i Zygfryda germańskiego, zarówno jak słowiańskiego Marsa—Jarowita i Krakusa. Jak Jaryło (wschodnio - słowiańska nazwa Jarowita), tak i św. Jerzy na białym koniu jeździ. Według świadectw pisarzy chrześcijańskich z XII wieku, uroczystość Jarowita obchodzono w Hawelbergu (Hawolinie) w drugiej połowie kwietnia, w okresie więc na który przypada dzień św. Jerzego. Mimo swego bohaterskiego charakteru św. Jerzy jest patronem rolników i pasterzy, podobnie jak Jarowit, który był równocześnie bogiem urodzajów i walecznym obrońcą kraju. I Apollon boskim pasterzem był, a Mars rzymski, zanim się stał panem wojny, również rolnictwem się opiekował.

Częściowo więc pogańskie bóstwa ocalały pod postaciami niektórych „świętych", częściowo jednak zostały one zdegradowane i po dzień dzisiejszy jako „siły nieczyste", czarty i diabły niepokoją kraje słowiańskie.

Czcili Słowianie (jak inne ludy aryjskie) wielkich Bogów, objawiających się w potężnych żywiołach przyrody, w słońcu, ogniu niebieskim i w ogniu ziemskim, krzesanym ręką ludzką; w błyskawicy i wilgoci nieba, w chmurach i obłokach zraszających pola, uprawiane wysiłkiem człowieczym. Świętymi były Słowianom ogień i woda, pierwiastki boskie, z których wszystko życie powstało. Świętymi były drzewa i gaje, morza, rzeki i źródła, gdyż były przybytkiem boskim. Wszystko życie świętym im było, bo w nim moc boska się objawiała.

I czcili Słowianie umarłych swoich; śmierć więzów rodowych nie zrywała. Dusze przodków były opiekunami żyjących.

Dawno padły pod siekierą misjonarską drewniane słupy z wyobrażeniami Bogów pogańskich. Tam, gdzie przed wiekami Słowianie czcili swych Bogów świętych i jarych, dziś modlą się ich potomkowie do „świętych" proroków, pustelników, męczenników i wyznawców staro i nowozakonnych. Na miejsce sił kosmicznych, czczonych godami w różnych porach roku, wyznaczonych biegiem ciał niebieskich, w szczególności słońca, podsunięto Chrystusa i Trzech Króli, Matkę Boską i różnych „świętych".

Wypędzeni ze swych poczestnych miejsc w izbach i domach słowiańskich dusze przodków, opiekunów zagród rodzinnych, ukryły się w „świątkach" i tak nadal strzegą domostw i pól w kapliczkach przydrożnych (W. Bogusławski).

Naogół nie jest wiadomym, że to, co przywykliśmy uważać za dorobek kulturalny względnie estetyczny chrześcijaństwa, to, do czegośmy się przywiązali, odczuwając w nim piękno i poezję: wierzenia i święta i obrzędy z nimi związane prawie wszystko to jest nasze, jest naszym własnym, prastarym dorobkiem. Ale w formach naszych wierzeń dawnych, w tych naczyniach naszego domu podawano Słowianom przez wieki obcą strawę, która miała powoli zatruć ich dusze.

Bogowie są upostaciowanymi ideałami ludzkimi. Przymioty, w które zostali wyposażeni przez człowieka są wyrazem dążeń i pragnień tegoż. W mitycznych postaciach bogów zarysowany jest obraz świata, powstały w duszy człowieczej. Tam, gdzie człowiek nie zdołał uporać się z żywiołami życia i przyrody, bogowie są demonami, władcami groźnymi, do których człowiek zbliża się ze strachem. Są Bogowie odstraszający i wzniośli, rozwięźli (nietwórczy) i twórczy. Zjawiają się w zwierzęcych kształtach i w postaci ludzkiej o promiennym obliczu. **W postaci boga i bohatera mitycznego, których człowiek uwielbia, odzwierciadla się sam i postawa jego wobec Bytu.**

Wśród mnogości bóstw i podań mitycznych, stworzonych w ciągu wielotysięcznego bytowania ludzkiego na ziemi, mało jest takich, które są nie wyobrażeniem czystej wegetacji ale wyrazem dążności i tęsknot twórczych człowieka. Dwie charakterystyczne pod tym względem postacie spotykamy u starożytnyh Greków, twórców pierwszej wielkiej cywilizacji, Apollina i Athenę.

Apollon — Phoibos — promienny, nietylko jest bogiem światła; jest zwycięzcą chaotycznych sił na ziemi, ustawodawcą, bogiem śpiewu i muzyki, wzlotów i uniesień duchowych. To najczystsza postać boska na Olimpie i Grekom najświętsza. Athena w uzbrojeniu wyskakuje, niby myśl - błyskawica z głowy ojca swego, słonecznego Zeusa. Jest boginią mądrości politycznej, uczy rzemiosł, sztuki i nauk, opiekuje się życiem i rozwojem miast. Oboje, Apollon i Athena, pobudzają twórczość umysłową. Niezapomnianą też jest postać półboga Prometeusza, który wykradł ogień z Olimpu, niosąc go ludziom, czym dał początek twórczości cywilizacyjnej.

U Słowian przedchrześcijańskich jako ludów młodych, dziecinnych, bogowie są jeszcze wyobrażeniami potężnie oddziaływujących na nich sił przyrody. Ale są — jak zresztą u wszystkich ludów aryjskich — bogami dobroczynnymi, przyjaznymi człowiekowi, co jest — należy o tym pamiętać — wyrazem i dowodem jak najbardziej pozytywnego stosunku do życia i przyrody. Na czoło kultu religijnego wysuwa się cześć ognia — słońca, tego elementu, który zawsze odczuwany był jako najwyższa moc w kosmosie i jako symbol impulsu twórczego w człowieku.

Chrześcijaństwo nie mogąc zniszczyć w Słowianach wiary słonecznej, zamiast słońca podstawiło Chrystusa i różnych świętych (Brückner); nie mogąc wykorzenić kultowych zwyczajów rodzimych, „uświęciło" co się dało, wprzęgając je do swoich praktyk religijnych. Tak z czasem, pod ciągłym naciskiem „wychowawczym" chrześcijaństwa, zbladły wspomnienia o świetlistych i rycerskich bogach. Wierzenia pierwotne zeszły do rzędu zwykłych zabobonów i przesądów. Światopogląd chrześcijański powoli opanował życie słowiańskie. Schyliły się głowy, spokorniały serca. Przebrzmiały radosne śpiewy, miast nich z kościołów dochodzą żałosne zawodzenia, kajanie się, gorzkożalizm. Piękna, zamieszkała przez bogów ziemia zmieniła się w „dolinę łez" i „padoł wygnania".

Zapanowanie wszechwładne światopoglądu chrześcijańskiego zepchnęło Słowian z linii rozwojowej, prowadzącej od kultu bogów słonecznych ku własnej, wielkiej twórczości słowiańskiej. A jednak — choć duch słowiański, miłujący Życie, został spętany i spogardzony, ostał się. Gdziekolwiek się rozejrzeć, wszędzie z poza „świętości" chrześcijańskich wygląda milcząco twarz przeszłości słowiańskiej. Pod gruzami zburzonym kącin, zrąbanych gajów i lasów świętych tli się Ogień — Swarożyc. Tli się buntem, chce zerwać pęta duchowe, krępujące jego instynkty życiowe, chce się spalać w wysiłku twórczym milionów ramion i mózgów ludzkich. Chce w ziemi, nie „padoł wygnania i płaczu" widzieć, ale radosną Świątynię Tworzenia. Chce **przebóstwić** świat, ale nie oddając go Bogu dalekiemu i odrębnemu, Istocie, której cała natura tego świata jest przeciwną, ale chce sprawić, by Impuls Boski przenikający Wszechświat — Materię, potężniał i wypełniał senną wegetację sobą, swą twórczą wolą i świadomością. Chce by jego Naród uśpiony zbudził się i zerwał do dzieła Boskiego nań czekającego.

Buntem tli się Ogień — Swarożyc, szerzy się, rośnie, by — gdy dzień nadejdzie — wybuchnąć potężnym płomieniem Świętej Woli Twórczej Narodu.

Swar.

Wici Sławów

Hymn do Miecza

W słońcu porannem, lśnisz złotem
Gdyś z pochwy wydobyty
Stalowym świecisz brzeszczotem
Co nigdy krwie nie syty.

Chór:

Kośćmi ubielasz ziemice.
Kruki o ścierwo kraczą.
Rdzewieją w polu zbroice.
Matki poległych płaczą.

Co nigdy krwie nie syty,
Mięsa wrogów łaknący.
Łzami ich kobiet myty,
Za ciosami tęskniący.

Chór:

Wraże czaszki druzgoczesz
Dłonią ujęty krzepką,
W słońcu jasnem migoczesz
i krew przelewasz lepką.

Ramię, gdy dzierży męstwo,
Kraje zdobywasz bogate.
Dzielnym dajesz zwycięstwo,
Za walki znojne zapłatę.

Chór:

Niech blask twój postrach szerzy
Gdy idziem na wyprawę.
Na ziem naszych rubieży,
Narodu szerzy sławę.

Niechaj płoną ofiary
I brzeszczot lśni się zorzą.
Miecz niech pełni zamiary
I wolę pełni Bożą.

Chór:

Niechaj płoną ofiary
I krwią rumienią się zorze.
My mieczem pełnim zamiary
Wyroki pełnim Boże.

Pazur

Oblicze współczesnej poezji

Motto: *„Zali nie słyszysz, jak się tu Duch stał już tylko słów igraszką. Wstrętnymi słów pomyjami rzyga on tylko“ — Nietzsche (Tako rzecze Zaratustra).*

Współczesna polska subliteratura, aczkolwiek nie omieszkała przywdziać przyłbicy radosnej państwowo-twórczości, pomnikowania swojej wielkości i konstruktywnego rozmachu wszechstronnych zainteresowań, odsłoniła już i ukazała swe starcze, przeżyte oblicze. Polska intelektu oddała się „własnołożnie" ideologicznemu nierządowi epoki saskiej, procesom „popuszczania pasa“ i uporczywego wpatrywania się w pępek własnej bezdziejowości i grusnej narcyzystycznej samoadoracji. Wzorem minionych stuleci świadomie importuje towar z intelektualnych baz Zachodu i Wschodu, wystawia niewypłacalne czeki kapitalistom obcej myśli, błogostanowo bzdząc i zasmradzając patos własnej wewnętrznej prawdy. Obłapuje się kurczowo walizki naładowane literaturą zagraniczną, by jak nieuczciwy tragarz uciekać z nimi z peronu Kultury, gdzie obce przebiegają pociągi, do swej koślawej chałupki intelektu. „Konkwistadorom" durna opinia wystawia alibi! I tu w kuźnicy frazesu, załgania i kabotynizmu kuje się z cynicznym sumieniem międzynarodowego złodziejaszka, „wspaniałe“ i „polskie“ podstawy dla wałacha literatury! Kuje się je zapamiętale probierzem swych poglądów, nie zważając na dogorywanie szkapska. Ludzie, dla których najdonioślejszym imperatywem jest esofloresowanie, naginanie, szlifowanie i obtłukiwanie niezliczonych podków, dopasowywanych cuchnącemu już bezwładem śmierci obiektowi — to „golemy", nie zasługujące nawet na pogardę i szyderstwo.

Tak wizerunkują się kowale judokatolickiego personalizmu, zalecającemu swym wyznawcom bezwład i pokorę, konfesjonalny ekshibicjonizm, ukochanie własnej wegetacji, mdły estetyzm, ckliwy, zmysłowy sentymentalizm, patologiczną marszrutę bezjądrowców ku pustelni osamotnienia i psychoanalitycznej kontemplacji, oraz całkowitą rezygnację z ambicji kształtowania własnej, męskiej woli twórczości. W ciasnym podwórku, w miazmatach pranych brudów przeprowadzają familijne porządki suteryniści ducha.

Z podłoża wegetacji wytryska ubezwładniający wpływ „geniuszów w spódnicach“. Kobiety, wyżywające się do syta w hermetycznym śmietniku personalistycznej nicości, okupując 60 procent literatury, wyszarzają do reszty jej tło.

O współczesnej „literaturze“ mówi Ignacy Fik: „Żądać idei, tendencji, charakteru, sensu społecznego, odpowiedzialności społecznej od ludzi zajętych wyłącznie swoją chorobą i swoim skrzywieniem — byłoby rzeczą niestosowną. Toteż autorów wartościuje się skalą poziomu formalnego i talentyzmem“.

Dokonajmy sumiennej wiwisekcji wnętrza literackiej rzeczywistości Polski. Przyjrzyjmy się jej organizmowi, jej ewolucyjnym procesom, jej muskulaturze i sercu. Należy zatem roentgenizować każdą potrawę, „pichconą“ w kuchni naszej „literatury“ przez kuchty i garkotłuki literackie. Spójrzmy jak „uliryczniają“ oni trawienie polskiego konsumenta.

POEZJA CHWALCÓW I KABOTYNÓW.

Odpowiedzmy na trzy zasadnicze pytania: 1) w jakiej aurze wyhodowano współczesne pokolenie płodziwierszów? 2) Skąd wyprowadza swój ideologiczno-artystyczno- formalny rodowów „nasza“ poezja? 3) Jakim jest jej nurt, środki, postulaty i osiągnięcia?

Klimat poezji rozgranicza trzy jej człony: poezję konstatującą, walczącą i ziszczającą, jak słusznie uszufladkował Irzykowski. Każdy rodzaj jest właścicielem istotnych zrębów tworzywa i na ich rusztowaniu rozbudowują się właściwości światopoglądu poety-indywidualisty. Literatura jest bowiem promieniowaniem i rzutowaniem w abstrakcję elementów składających się na jaźń twórców. Twórca jest wykładnikiem literatury na forum dnia powszedniego — jego światopogląd, koncepcje i zagadnienia, jakie stwarza, realizują się vice-versa na ekranie literatury.

Ponieważ atmosfera polskiej ideologii grupy jest nawskroś spersonalizowana, jest więc przyczyną zaistnienia literatury wysterylizowanej, zmurszałej i zaślinionej kobiecym szlochem ułomności psychicznej. Energia, uwięziona w piersiach poetów sączy się kropelkami rynną masochizowania woli, awitalizmu popędów, próżniaczej nastrojowości i biernoty wobec potęgi życia, natury i historii. Wynika z tego, że poeta-personalista, hołdujący zasadzie: „ding an sich" przeżuwa, przeflacza i trawi nie tylko karm formalny swego kunsztu, ale także płody myśli ludzi, prekursujących nowe prądy i programy, ludzi uwieszonych u buforów kultury. W konfrontacji z nimi, smętnie przedstawia się rola polskiego parnasisty. Gapi się on po prostu na szybkobieżny pociąg i w chwili jego przebiegnięcia usiłuje wskoczyć na stopień ostatniego wagonu. Tu właśnie w tej nieruchawości, bezwoli twórczej, zapóźnienia, peryferyczności, żucia ekstremów pożyczek, plagiatów, wpływologii, strojenia się w cudze piórka, małpowatej modzie snobizmu i niewolnictwie dusz, kryje się najboleśniejszy czyrak subliteratury polskiej. Bierze ona swą najintymniejszą treść z rezerwuaru myśli obcej. Tym łożyskiem płyną „odwieczne" potoki bogurodzicznej i skargowskiej hagiografii, wynicowanie z układu biopsychicznego Polaka woli czynnej, siły i walki. Tędy wydobywają się gazy i jezuickie czkawki świętości, „odor sanctitatis" piśmiennictwa okresu sasko-stanisławowskiego, jeremiadowego romantyzmu z jego mesjonistycznym wierzchołkiem, potulność i pruderia fin-de-siecle'-istów, tchórzliwy egotyzm młodopolski.

Typ jednostki autarkicznej, niepodległej słabości, wulkanizującej się w wyścigu dokonań, słowem typ np. anglosasa został od podszewki wypruty na rzecz snoba, ekshibicjonisty, orgiasty kultu słowa i wodnistych koncepcyjek, pustego magika niesamowitości, masturbanta kwiczącego z rozkoszy na widok biódr, czy cycków, rupiecia nurzającego się po szyję w seksualiźmie.

Smutna to, ale rzetelna prawda. Exemplum. Poeci „Skamandra", urągający i zapluwający się w walce z poczuciem psychicznego imperializmu, jezusikowo - beskidzki „Czartak" p. Zegadłowicza, zwulgarniały w świństwach i spodleniu swego osobowego poetyckiego „ja", „Zdrój" ekspresjonistów i czupurna brać rozpijaczonej i złajdaczonej bandy, zwanej „awangardą" (o ironio!), która w fetoryzmie (futuryzmie) zażywa kąpieli. Matecznik polskiej poezji, gdzie zmuszeni jesteśmy obcować z ślimaczą wegetacją, trawienną błogością w jej odbytowym stadium, zamienia się w grzęzawisko przeżuwaczy, psychopatów i cierpiętników z atrofizowaną wolą. Na każdym kroku wdeptuje się w makabryczny mistycyzm schorzalców i śledzienników, w wyrafinowany kwietyzm i bezwolę.

Wyłuskanie korzeni genetycznych poezji polskiej jest zabiegiem prostym. Wystarczy spojrzeć na nazwy kierunków, jakie zyskały prawo obywatelstwa na polskim wierszotwórczym ugorze. Wymienimy najgłówniejsze: futuryzm, kubizm, ekspresjonizm, dadaizm, surrealizm, prymitywizm, suprematyzm, konstruktywizm, homocentryzm, symmultaneizm, integralizm, formizm, imaginizm, worteksizm, unanimizm i szereg innych. Najdosadniej dokumentuje to, trywialne plagiowanie, raubritterstwo rozbuszowanych po cudzych ogródkach bufonów.

Nie ma miejsca w polskiej literaturze na sejsmograf kosmicznych zjawisk wstrząsających światem. Literatura ułatwiła sobie życie, rugując próby syntezy i tłumaczenia odbieranych zjawisk. Raczkuje niemowlęco tyłem do lamusa zakurzonej przeszłości, wydobywa przebrzmiałe i spróchniałe ideje. Cała nasza literatura posiada jeden wspólny mianownik: wtórność. Nawarstwienia zabagnionej obczyzną literatury naszej, powstawały z pożywki teorii naukowych (Einstein, Freud, Adler, Jung, Bergson, Mach, Avenarius, Jeans, Edddington, Sorel, behiowaryzm, pragmatyzm itd.). Są to pigułki intelekto-pędne, gładko przełykane przez naszych grafo-pasożytów.

Z nieprzemyślenia i błazeńskiego podejścia wykwitły rodzime trawestacje pionierów obcej myśli. Wynaturzony irracjonalizm znalazł piewcę w osobie J. N. Millera, klajstrującego do kupy formułki swego uniwersalizmu. Witkiewicz przelicytował Freuda i Adlera w zbzikowanym monadologicznym pluralizmie. Jedynie ciekawa teoria prof. Chwistka, traktująca o „wielości rzeczywi-

stości", nosi znamię samodzielnych przemyśleń. Przeżołądkowanie skarykaturowanych u nas problemów wydało na świat teorie polskich mitorobów. Niedołężnie realizują się w poezji te czterojakościowe mity: proletariacki, pacyfistyczny, państwowo - twórczy i kulturalno - narodowy. Poszczególni poeci plączą się naokoło swych światopoglądów, balętając rozpaczliwie nożyskami dla utrzymania równowagi. Samołudzą się, rozdmuchują bezsensy i detale do kształtu programu, „rozbebeszają" wprost każdą komórkę w poszukiwaniu jądra i... po pewnym czasie wytężonej aktywności, wypuszczają z dłoni bryłę swego mitu w stanie nieobrobionym, prostym. Np. mit, „świętego proletariusza" kończy się na perswazjach pięknoduchowych (Piechal) i egzaltowanej neurozie (Wandurski, Broniewski, poezja pracy itp.).

Znaczną rolę na formowanie się dzisiejszego oblicza „wierszotwórstwa" wywarł Staff i jego epigoni (Wierzyński, Lechoń, Iwaszkiewicz), zapatrzeni w swe małostkowe duszyczki, w senne pointy, i rozbębnioną sławę. Pokrewni im Leśmian i irracjonaliści w wydaniu Witkiewicz plus Choromański nadwyrężają onanizmem słowa zdrowy sens, pławią się w magicznych gusłach i zblazowują się zachwytem nad „bestią duszy człowieka, którą należy rozdrażnić, aby zobaczyć, co ona uczyni".

JANKIEL Z CYMBAŁAMI — REDIVIVUS!

Dziwolągowi polskiej „literatobzdury" przyszła w sukurs silna fala żydostwa — kamertonu ech zagranicznych. Na nędzologię poezji wywarli najpotężniejszy wpływ, odgrywając rolę Janklów - cymbalistów, dyrygowaniem katolickimi parobasami. Stwierdzamy, że pryzmatem polskiej liryki jest jaźń semicka. Żydowski esprit rozpiera się dumnie na „polskim parnasie", ukultywiając słabość i znikomość duszy, nihilizm twórczy i niepoczytalne koziołkowanie w podświadomość sennego marazmu. Kahalnicy zasugerowali lirykę swym talentyzmem międzynarodowej rozpiętości i pomni na „odwieczne" doświadczenia trzymają w swych objęciach potulnego bydlaczka poezji. Chyba nie trzeba udowadniać, że poetycka czołówka, to jednocześnie elita żydoliryki. Np. Leśmian, Tuwim, Słonimski, Peiper, Jasieński, Napierski, Jastrun, Brzechwa, M. Braun, Ważyk, Stern, Wat i legion innych. Równolegle z nasiąknięciem żydoliryzmem uwidacznia się inwazja kobiet a wszędobylski pierwiastek kobiecości cechuje całokształt literatury.

Z. Dębicki, pierwszy poszukiwacz źródła kryzysu literatury pisał: „Cały świat głodny jest dzisiaj miłości i wiary w życie, wiary w sens istnienia człowieka na ziemi... potrzeba dzisiaj literaturze i sztuce twórców o męskiej sile i męskiej woli, o wielkich kochających sercach, którzy nie rozpływają się w ckliwym sentymentalizmie społecznym, umieliby się zdobyć na silne uczucie i współczucie dla człowieka i wskazaliby mu istotną drogę do odrodzenia, zastępując dzisiejszą pustkę dusz ludzkich nową i pełną ich treścią". (Rozmowy o literaturze).

Jasnym jest chyba, że semicki nurt duchowy płynący ślamazarnie korytem duszy Polaka - Słowianina, przyswojony mu przez kosmopolityczny system katolicki, nie odrodzi twórczo żadnej duszy polskiej! Bo wszelkie możliwe tricki, figle, żarciki, szaleństwa i dziwactwa eksperymentalne w zakresie formy nie zrekompensują nigdy kołtuństwa idei, ugoru światopoglądów, duchowej kastracji polskiej subliteratury. Zawoalowała się oparami kadzideł, pokory i borykania się ze swymi śmiesznostkami. Splugawiła słabizną wegetacji i potwornym pomiotem zboczeń psychicznych. Lamenty nad jej sprostytuowaniem nie zdadzą się na nic, póki absolut jej nie unieśmiertelni się w heroicznej postawie i twórczej mocy realizowanej w Narodzie. Jesteśmy tego świadomi, że literatura umiejscowiona w płaszczyźnie hedonistycznego szczeźnięcia zaropiałych światopoglądów, zawdzięczająca swój byt jarmarkowi nazwisk, gmatwaninie mętnologii, rozgardiaszu hasełek i programacików, atwórcza i krótkowzroczna, zezująca z rozdziawioną gębą pod kiecką życia, uwiądła i bezwolna, jest zobrazowaniem krańcowego stadium paraliżu postępowego. Tej chorobie podlegają i inne dziedziny życia polskiego. W następnym numerze zajmiemy się dokładniej mętnym bajorem polskiej literatury i jej prozaistyki.

J. Bielski

Jeszcze o odrodzeniu słowiańskim

Umieszczenie artykułu p. Suchockiego na łamach „Zadrugi" wyjaśnia poniżej przytoczony list. — *Red.*

Szanowny Panie Redaktorze!

Po przeczytaniu artykułu w „Zadrudze" o moich uwagach poczynionych w „Marchołcie" n. t. „Odrodzenia narodowego", napisałem zaraz załączony artykuł i posłałem go do jednego z tygodników. Posłałem go tam dlatego, ponieważ 1) chciałem przyspieszyć przez to jego ukazanie się, 2) miałem wątpliwości, czy „Zadruga" zechce umieścić uwagi niezgodne z jej postawą, szukałem więc terenu w danych okolicznościach najbardziej neutralnego. Wspomniany tygodnik obiecał wprawdzie wydrukować artykuł, ale termin druku zdawał się umyślnie przeciagać in infinitum. Wobec tego artykuł wycofałem. Zapytuję więc czy „Zadruga" nie wydrukowałaby załączonego artykułu jako dyskusyjnego. Jeżeli — nie, to bardzo proszę o jaknajśpieszniejszy zwrot.

Z poważaniem

M. Suchocki

W sprawach poruszonych przeze mnie w artykule „Z tajemnic odrodzenia narodowego" („Marchołt" — lipiec 1938 r.), zabrały głos dwa pisma: „Odrodzenie"—listopad 1938 i ostatnio „Zadruga" — marzec 1939 r. Pierwsze z nich martwi sie, że jestem za mało chrzecijański, drugie zaś, że za bardzo. Nie od rzeczy więc może bedzie. jeżeli tu. nie wdając się zresztą w szczegóły, dla dalszego wyjaśnienia mojej postawy pewne uwagi dorzucę.

Zacznijmy od „Odrodzenia". Otóż autor artykułu streszczając swoje wywody przyznaje, że stwierdziłem w nich konieczność harmonii między drogą ofiary i drogą kultury. Gdyby wiec dobrze był zastanowił się nad tym, co stwierdzenie to znaczy. to nie dawałby był swemu artykułowi tytułu: „Chrystus czy Caesar?" — ale zmuszony byłby mu dać tytuł „Chrystus i Caesar", — a wtedy może uznałby pisanie artykułu w ogóle za zbyteczne. To jedno.

A teraz jeszcze kilka słów na temat stosunku kultury do religii i sposobów kształtowania przez religię fizjonomii kulturalnej narodu. Wydaje mi się, że pewne usługi może tu oddać porównanie wspomnianego stosunku ze stosunkiem, jaki zachodzi pomiędzy ogrodnikiem a oddanym jego pieczy ogrodem. Są różne metody prowadzenia ogrodów: francuski, angielski (mnie osobiście odpowiada raczej ten ostatni). Można strzyc i naginać powierzone swej pieczy rośliny mniej lub bardziej, aż do obrzydliwych zniekształceń włącznie. Cóż byśmy powiedzieli jednak o ogrodniku, któryby za największą swoją madrość zawodową uważał obcinanie wszystkiego przy korzeniu względnie nawet wyrywanie wszystkiego z korzeniami? Cóż byśmy powiedzieli o takim hodowcy pustyń przygotowującym w najlepszym razie grunt pod najprzeróżniejsze chwasty? A jednak takim metodom zdaje się hołdować autor artykułu w „Odrodzeniu" i cały w ogóle kierunek myśli t. zw. katolickiej reprezentowany przez to pismo. To też takim wielkim i szumnym słowom, jak: Dobro, Prawda, Piękno, Akt nic nie pomoże pisanie ich wielką literą, pozostaną one tym, czym są w ujęciu „odrodzeniowym", w rzeczywistości, a mianowicie sztucznymi, papierowymi kwiatkami pozatykanymi na bezbrzeżnych obszarach Sahary. I dodać tu trzeba jeszcze jedno, a mianowicie, że ogrodnicy wspomnianego tu typu w swym zaślepieniu nie widzą przede wszystkim i tego, że podcinają gałąź, na której sami siedzą, i dopiero nabicie sobie tęgiego guza przyprowadza ich czasem do przytomności, ale i to rzadko. Zawsze bowiem znajdą jakiegoś Kura, który jest wszystkiemu winien. Trzeba więc wybierać między rolą prawdziwego ogrodnika a dewastatora. Ten paniczny strach, z jakim pewne koła przyjmują każdą myśl o odrodzeniu słowiańskim ,staje się coraz bardziej już pocieszny, doskonale bowiem odsłania ich bezradność wobec nazbyt dziś już oczywistej konieczności i nieodzowności takiego odrodzenia. Czego się tu ostatecznie bać. Pamiętajmy, że odrodzenie „pogańskiej starożytności" we Włoszech dało kościołowi najwspanialsze zabytki sztuki kościelnej, dało to wszystko czym dziś jeszcze kościół olśniewa świat. Trzeba się wyzbyć tylko pewnej małoduszności! Trzeba się wyzbyć tego wszystkiego, co podsunęło np. autorowi artykułu w „Odrodzeniu" użycie takich chwytów, które moralnie trudno skwalifikować, jak ten chociażby ze Słonimskim i Tuwimem.

Przejdźmy do „Zadrugi". Pismo to stoi na stanowisku identyfikującym judaizm czy semickość z chrześcijaństwem, a nawet, na co już absolutnie się nie można zgodzić, z nauką Chrystusa taką, jak ona się nam zarysowuje na podstawie Ewangelii. Nie chcę tu rozpatrywać stosunku pierwszego, judaizmu do chrześcijaństwa, gdyż pojęcie chrześcijaństwa stało się bardzo rozciągliwe i każdy powołany czy niepowołany interpretator podciąga pod nie to akurat, co mu najbardziej w danej chwili dogadza. Zajmę się tylko stosunkiem judaizmu do nauki Chrystusa. Pomijając już to, co na temat zachodzących tu różnic dotychczas przekonywująco napisano, pomijając już uderzającą na pierwszy rzut oka przepaść, jaka dzieli Chrystusa od małodusznej postawy faryzejsko-judaistycznej, chciałbym tu podkreślić jeszcze pewne różnice dla mnie specjalnie przekonywujące. Sięgnijmy więc do przykazań, które przecież muszą stanowić najpewniejszy punkt oparcia, najbardziej obowiązujący jako ekstrakt nauki. Porównajmy takie dwa sformułowania: „Jam jest Pan Bóg twój..." i „Będziesz miłował Pana Boga twego..." Tylko ten, kto potrafi się wmyśleć w zasadnicze różnice, jakie zachodzą między obu

przykazaniami, jest w stanie zrozumieć także dogłębne różnice, jakie dzielą judaizm od autentycznej nauki Chrystusa. Jest to ta sama różnica, jaka dzieli statyzm od dynamizmu, podejrzliwość od zaufania, impotencję twórczą od twórczej mocy itd. itd. A teraz przykazanie drugie: „...a bliźniego twego jak siebie samego". Interpretuje się słowa te różnie. Szuka w nich dla siebie sankcyj tak miłość bezgraniczna, bierna, wszystko wybaczająca, jak i bezgraniczny egoizm. Istnieje zaś, jak się zdaje, tylko jedna forma uprawnionej miłości własnej, a jest nią poczucie honoru, a więc pojęcie tak bardzo obce umysłowości judaistyczno-faryzejskiej. „Będziesz miłował bliźniego twego tak, jak ci honor nakazuje" — oto istotny sens drugiego wielkiego przykazania nauki Chrystusa. Nie potrzeba tu jeszcze szeroko udowadniać, że tak pojęta nauka Chrystusa, a inaczej jej po prostu pojmować nie można, zbyt bowiem wyraźnie została sformułowana w głównych swych przykazaniach ,nie może stać w żadnej sprzeczności z tym, co nazywamy przełomem czy odrodzeniem słowiańskim. Dynamizm, zaufanie, twórczość, honor itd. — oto te znamiona, które cechować będą słowiańskie odrodzenie. Nie dajmy się więc zwieść fałszywymi pozorami. Nie dajmy się więc zwieść tym, że dzisiaj nauka Chrystusa zepchnięta została na plan dalszy przez jej komentarz sporządzany przez ludzi o wyraźnej, dualistycznej, azjatyckiej, judaistycznej konstrukcji duchowej. Nie dajmy się zwieść tym, że dzisiaj patent na chrześcijaństwo wystawiają przeważnie ludzie o wyraźnym semickim profilu duchowym. Czyż już nieraz nie było tak w dziejach, że Chrystus musiał walczyć o zwycięstwo swych zasad przede wszystkim wśród swoich „wyznawców". Jeżeli dziś dochodzi do walki między Chrystusem a wszelkiego rodzaju faryzeizmem, to trzeba istotę tej walki uświadomić sobie jak najgłębiej, zwycięstwo bowiem autentycznej nauki Chrystusa będzie zwycięstwem naszym, zwycięstwem odrodzenia słowiańskiego, tak jak zwycięstwo odrodzonej we franciszkaniźmie chrystusowości (Franciscus alter Christus) było wstępem do wspaniałej epoki włoskiego odrodzenia.

Wreszcie jeszcze kilka słów dotyczących już bezpośrednio samego odrodzenia słowiańskiego. Sięgnijmy tu do momentu powstawania państw słowiańskich. Otóż te elementy, które wówczas reprezentowały świadomość słowiańskiej państwowości, musiały walczyć przy realizacji swoich ideałów nietylko z czynnikami zewnętrznymi (cesarstwo, polityka kościelna itd.), ale i z pewnymi oporami pochodzącymi z wewnątrz społeczeństwa słowiańskiego. Opory reprezentowały te elementy, którym nie odpowiadały wyższe formy życia kulturalnego, jakie zapowiadało silne państwo i które radeby były tkwić nadal w pewnym idylliźmie słowiańskim. Teokracja jest wszędzie taka sama.

Zamiast myśleć wraz ze swymi bohaterskimi królami i wodzami o budowie państwa czy imperium, ówczesna forma „personalizmu" słowiańskiego nakazywała fikać koziołki w noc św. Jana czy swarzyć się między sobą. Nie zaczynajmy więc odrodzenia słowiańskiego od tańców Kupały i w ogóle momentów drugorzędnych, jest to bowiem najpewniejsza droga do kompromitacji najsłuszniejszej w świecie idei, kompromitacji, na którą z upragnieniem czekają wszyscy wrogowie. Zadaniem odrodzenia słowiańskiego jest wprzagnięcie idei słowiańskiej w rydwan polityki państwowej i kulturalnej jako niezawodnego i w dzisiejszych warunkach jedynego, silnego motoru.

Na zakończenie pragnę dodać, że oba omawiane tu artykuły nie zdołały w niczym osłabić mojej postawy, a raczej mnie umocniły w przekonaniu o słuszności wypowiedzianych w „Marchołcie" tez. Pomiędzy stanowiskiem identyfikującym polskość z katolicyzmem, a stanowiskiem głoszącym ich wzajemne wykluczanie się, zajmuję stanowisko trzecie jedynie, moim zdaniem, zgodne z nauką Chrystusa — a głoszące **oboksobność**, (jeżeli tak można powiedzieć), tych dwu elementów. Przy czym polskości nie można tu sterylizować ze słowiańskości, tak jak katolicyzmu z chrystusowości. Tak: „Oddajcie cesarzowi co cesarskiego, a Bogu co bożego" — to nie wybieg, to wskazanie.

Mieczysław Suchocki

Od redakcji:

Ze względów od nas niezależnych wydanie bieżącego numeru zostało opóźnione, za co Naszych Szanownych Prenumeratorów i Czytelników najmocniej przepraszamy.

Numer następny, podobnie jak w roku ubiegłym, ukaże się w zwiększonej objętości po przerwie wakacyjnej — we wrześniu, jako 22 — 23 za m. sierpień i wrzesień.

Towarzystwo Jezusowe interesuje się „Zadrugą"

Jezuici w obozie Rasistów?

Artykuł niniejszy jest odpowiedzią na niektóre zarzuty, wysunięte przeciwko nam ze strony jezuickiego pisma „Wiara i Życie" z dn. 1.VI. b. r. Zanim mogliśmy wydać numer, ukazał się następny zeszyt „Wiary i Życia" (z dn. 15.VI. b. r.), w dalszym ciągu z nami polemizujący. O ile jednak poziom pierwszej polemiki, choć mocno niewybredny, był jeszcze możliwy do przyjęcia, to już następny wykracza poza wszelkie możliwe granice. Mimo tego, by nie być posądzonym o chęć usunięcia się od dyskusji, odpowiedź na pierwszą polemikę zamieszczamy, co do drugiej, zawierającej szereg najrozmaitszych insynuacji i formalnych obelg, rezerwujemy sobie zajęcie innego stanowiska. — **Red.**

Motto: „Ci ludzie (Jezuici), jak mówił Lacordaire, mają talent robienia wariatów z tych, którzy ich atakują" [1])

Jezuicki dwutygodnik „Wiara i Życie" z dnia 1 czerwca r. b. poświęca Zadrudze aż 8 stron druku na 32, ponadto cały numer zawiera mnóstwo aluzji do naszego pisma. Wyróżnienie — trzeba przyznać — wyjątkowe, z którego jednak nie jesteśmy dumni. Jest rzeczą dla nas zaszczytną, gdy walczy z nami przeciwnik rycerski i po rycersku, ale takiej opinii nie ma zakon ks. ks. Jezuitów nawet wśród tych, co bronią tych samych ideałów. Zdanie wzięte za motto wypowiedział nie mason, ani inny heretyk, ale Lacordaire, dominikanin, czołowy kaznodzieja francuski XIX wieku.

„Wiara i Życie" w walce z nami od ogólnego stanowiska Jezuitów wobec swoich przeciwników nie odbiegła wcale. Poziom ataku jest gangsterski. Np. o naszym światopoglądzie powiedziano, że jest „poczęty w rynsztoku". O naszych wysiłkach badawczych wyraża się jezuickie pismo z pogardą: „pp. Grzankowie grzebali w brudach i śmietniskach", z zecerskiej pomyłki w nazwisku (Szaweł zamiast Szymon), istoty rzeczy niezmieniającej, ukuto zarzut istotny. W tym stylu zmajstrowano trzy artykuły na 8-miu stronach.

Najdłuższy z nich poświęcili chrześcijańscy autorowie opowiadaniu ,że pogląd nasz na katolicyzm urobiliśmy sobie na podstawie obserwacyj jego ciemnych stron. „Na znajomość kościoła Zadrugistów — piszą — wpływały głównie kanały i podziemia". Zarzucają nam więc skrajną jednostronność. Dobrze! Jesteśmy oskarżeni, ale gdzie dowody? Dowodów nie ma. — Nasze obyczaje („pogańskie") są inne. Gdy kogo oskarżamy, dajemy dowody. W tej chwili oskarżamy redaktorów „Wiary i Życia" o rozmyślne wprowadzanie w błąd czytelników swego pisma w przeświadczeniu, że nie sięgną oni do zeszytów Zadrugi, aby się przekonać bezpośrednio, w czym rzecz. Oskarżenie nasze popieramy.

W dotychczasowych naszych wywodach nie tylko nie sięgnęliśmy po argumenty do „kanałów i podziemi" katolickich, ale unikaliśmy rozmyślnie tego, co „Wiara i Życie" nazywa śmietniskiem kościoła rzymskiego. Nie omawialiśmy np. okrutnej i dalekiej od wszelkiego humanitaryzmu polityki kościoła wobec Obrazoburców, Albigensów, Manichejczyków, Arian, Husytów, Protestantów; nie mówiliśmy o inkwizycji, auto da fe, paleniu na stosach „czarowników", kacerzy, filozofów (Giordano Bruno), ascetów (Savonarola), reformatorów (Hus), o prześladowaniu uczonych (Galileusz), i ich dzieł (de revolutione orbium terrestrium Kopernika było na indeksie kościelnym do XIX wieku); nie wspominaliśmy o rzezi nocy św. Bartłomieja, ani o edykcie nantejskim, ani o dekorowaniu przez papieża głównego rzeźnika Hugonotów, Króla Karola IX orderem Złotej Róży; nie sięgnęliśmy do takiej kopalni sensacyjnych oskarżeń ,jaka jest życie szeregu papieży z Aleksandrem XI i Juliuszem III na czele i mnóstwa biskupów z naszym Gamratem w pierwszym rzędzie. W szczególności zaś w stosunku do zakonu Jezuitów unikaliśmy dotychczas jego osławionych „śmietnisk", nie wywlekaliśmy na światło dzienne pikantnych szczegółów, zawartych w „Prowincjałkach" Paschala i w aprobowanych przez zakon dziełach ich własnych teologów, jak Moullet, Escobar, Suarez, zwłaszcza zaś t. zw. teologów „brodawkowych"; nie cytowaliśmy dokumentów służalczości okazywanej przez ten zakon wobec carycy Katarzyny i jej czynowników na obszarach zabranych Polsce przez Rosję.

Jakież to cymesy moglibyśmy czerpać z tych kart katolicyzmu! A jednak nie sięgnęliśmy do nich. Dla czego? Aby się nie narazić na zarzut niegruntowności i jednostronności. Owszem, powiedzieć możemy, że jeżeli grzeszyliśmy jednostronnością, to na korzyść katolicyzmu. Nasze bowiem rozważania o jego wartościach, popieraliśmy ewangeliami i listami apostolskimi. A ostatnio sięgnęliśmy do obrazów z praktyki katolickiej, nie z praktyki dołów, ale szczytów, bo z praktyki świętych oficjalnie przez kościół uznanych. Przetrząsnęliśmy kilkanaście żywotów, wśród nich takich asów, jak Hieronima, Bernarda z Clairvaux, Katarzynę ze Sieny, Teresę z Avili i na podstawie cech wszystkim wspólnych scharakteryzowaliśmy katolickiego świętego, a pośrednio sam katolicyzm. W tych warunkach zarzut, że grzebiemy się w śmietniskach katolicyzmu jest nie tylko gołosłowny, ale mija się z prawdą i jest chyba obliczony

[1]) „Ces gens — la (les Jésuites), au dire de Lacordaire, ontle talent de rendre foux ceux qui les attaquent" — L'origine musulmane des Jésuites. Nictor Charbonnel, Paris 1900.

na wiarę tych, którzy „Zadrugi" nie czytają, a mieli nieszczęście, że nieopatrznie obdarzyli swym kredytem zaufania potomków Ignacego Loyoli.

Bardzo zgorszyła „Wiarę i Życie" nasza charakterystyka świętych, wedle której święty to indywiduum wyprane z wszelkich więzi grupowych, obce życiu i dążące do nicości. Cóż poradzimy. Charakterystykę naszą oparliśmy na obserwacji kilkunastu wybitnych świętych, należących do różnych środowisk i epok. O tym, na czym oparliśmy naszą definicję świętego, Jezuici nie mówią ani słówkiem, natomiast twierdzą, że o świętych inaczej pisali „najwięksi geniusze ludzkości". Ale tu znowu każą sobie wierzyć na słowo, gdyż nie przytaczają ani jednego zdania owych „geniuszów". Podobnie gołosłownie twierdzą, że gdyby we Francji napisał kto o świętych w stylu „Zadrugi", musiałby ze wstydu schować się w mysią dziurę. A cóż to za wybuch zaufania do Francji, która w swej rewolucji wysłała do nieba przy pomocy gilotyny 20 tysięcy katolickich duchownych, skonfiskowała majątki katolickie, a od lat 40-tu żyje w rozwodzie z kościołem.

Jeszcze lat temu sześć, Francja była fe, a ideałem, na który się powoływało to międzynarodowe bractwo, byli Niemcy. Dziś niema jak Francja. Tam to piszą o świętych, że proszę siadać. Ano to jedźmy do Francji. W r. 1928 zmarł Yves Guyot, kilkakrotny minister pracy, prezes francuskiej „Societè économique", autor dwudziestu kilku dzieł z zakresu ekonomii i socjologii, m. in. kapitalnej pracy p. t. „Les études sur les principes sociales du christianisme" (tłumaczona na polski język). Ten to uczony pisze we wstępie do wymienionego dzieła: „Niejeden święty dziś dostałby się do czubków (dom wariatów — przyp. red.). W tej chwili leczą w Bicêtre małego Franciszka z Asyżu, który po 15 i 20 dni nic nie jada. Tak się wszystko odmienia ku wielkiemu niezadowoleniu księży". Tyle tymczasem. W razie niezadowolenia, że za mało, damy więcej. Na koniku francuskim — wiecie o tym przecie, wy, uczniowie Loyoli najlepiej, można jeździć bez końca, ale nie do kościoła, raczej w kierunku przeciwnym. Wywołanie z lasu francuskiego wilka nie było fortunnym pomysłem.

Podobnie nie udała się wycieczka z uczonymi. „Zadruga" w numerze 18—19, atakując publicystę katolickiego, wysunęła twierdzenie, że wielcy odkrywcy i wynalazcy tworzyli nie pod wpływem strachu przed piekłem, lub żądzy nagrody niebieskiej, gdyż w niebo i piekło, ogólnie biorąc, nie wierzyli, ale działali parci instynktem twórczym. „Wiara i Życie" natomiast postawiła pytanie: czy uczeni byli ludźmi wierzącymi? Na tak bardzo ogólnikowo sformułowane pytanie można odpowiedzieć twierdząco, gdyż chyba trudno znaleźć uczonego, który by w coś nie wierzył (i my zadrużanie wierzymy, gorąco wierzymy). Ale taka ogólnikowa odpowiedź tyle mówi, co i owo ogólnikowe pytanie, to znaczy właściwie nic. Inaczej jednak przedstawi się kwestia, gdy poczniemy precyzować przedmiot wiary, gdy zapytamy np.: czy uczeni wierzyli w Boga osobowego? w Trójcę? w niebo i w piekło? To ostatnie było naszym pytaniem. Odpowiedzieliśmy na nie, jeżeli idzie o ogół wynalazców i odkrywców, przecząco. „Wiara i Życie" naszego sądu nie podważyła. Powołanie się na protestanta Dr. Donnerta nie jest fortunne. Dr Donnert bowiem nie mówi zupełnie o wierze uczonych w niebo i piekło (o co nam chodziło), powtóre do „wierzących" zalicza nie tylko katolickich uczonych ale i protestantów, deistów a nawet panteistów. Praca zresztą D-ra Donnerta pod względem poziomu naukowego nie wiele odbiega od dociekań pewnego polskiego Jezuity, który do pisarzy katolickich zaliczył także... Przybyszewskiego. Aby przerwać dyskusję na ten temat, stwierdzamy: poza wymienionymi przez nas Skłodowska i Curie nie wierzyli w niebo i piekło: Kant, La Place, Ampère, Volta, Pharaday, Elison, Mendelejew, Darvin, Haeckel, Niel Bogo.

Co przeciwstawi „Wiara i Życie" tym nazwiskom czołowym, bez których nasza obecna wiedza byłaby nie do pomyślenia? Prosimy jednak nie o ogólniki, ale o nazwiska i szczegóły, o które nam idzie (niebo i piekło!).

Na zakończenie „Wiara i Życie" wytoczyła przeciwko nam straszliwą — jak jej się zdawało — kolubrynę, aby nas zmiażdżyć ostatecznie i nieodwołalnie. Idzie o Żydów. Napisaliśmy kiedyś, że zakon Jezuitów jest najbardziej ze wszystkich zażydzony. „Wiara i Życie" odparła, że jest to „wierutne kłamstwo", że zakon Loyoli nie tylko nie jest, ale i nie może być zażydzony, albowiem **„statut zakonu zabrania przyjmować Żydów do czwartego pokolenia"**. Naiwny poczciwiec, czytający powierzchownie i wierzący Jezuitom, orzeknie, że jesteśmy zdruzgotani. Nieco obyty z metodami tego zakonu przeczyta obronę jeszcze raz i powie: tu jest coś w nieporządku; czyżby jezuici pisali się na rasizm? jezuici, których dyscyplina zmierza do wychowania jak najbardziej międzynarodowego typu? a cóżby na to powiedział ich ojciec duchowy, Ignacy, który z wielkiego sentymentu dla „narodu wybranego" wzdychał żałośnie, że nie danem mu jest być Izraelitą? i oto teraz doczekał się, że jego zakon nie przyjmuje żydów i to aż do czwartego pokolenia! A gdzież to pawłowe: „nie jest żyd, ani greczyn, ale wszyscy wy jedno jesteście w Jezusie Chrystusie"?

Ignacy jak Ignacy. Nie był to człek pojętny ani bystry o czym świadczy m. in. fakt, że mimo szczerych wysiłków nigdy nie nauczył się po łacinie: Ignacy nie zorientował by się o co tu idzie. Ale jego pierwszy uczeń i następca na urzędzie najwyższego przełożonego i wraz z sekretarzem zakonu Palanco właściwy tego zakonu twórca, Lainez, sławny Lainez, spiritus movens soboru trydenckiego, tak ważny, że gdy zachorował i na obrady nie przychodził, chciano odroczyć posiedzenie, Lainez który ze swym sekretarzem złożył Ignacego z urzędu i wziął zakon w swe ręce, on-że Lainez, żydowin z pochodzenia, podobnie jak sekretarz zakonu Palanco, gdyby posłyszał w grobie, iż zakon Jezuitów zabrania przyjmować Żydów, przewróciłby się na drugi bok z oburzenia. Ale gdyby usłyszał resztę, że nie przyjmuje się Żydów tylko do czwartego pokolenia, uśmiechnąłby się

z zadowoleniem: ce, ce, ce! ten zakaz do trzeciego pokolenia to powiedziane dobrze dla rasistów; a to co dalej, że od czwartego wolno, to dla filosemitów i tradycyjnych katolików, a także socjalistów niedobitków — to bardzo fajnie zrobione. To pomyślawszy zamknąłby oczy, spokojny o swój zakon [1]).

Tak, tu szło właściwie o zadowolenie antysemitów i filosemitów. A gdy antysemici zapytają, czy w czwartym pokoleniu żyd przestaje być żydem i w jaki cudowny sposób się to dzieje, to się jakoś na to odpowie; zresztą może nie zapytają. Tymczasem efekt jest: wobec antysemitów Jezuici są rasistami, zamykającymi zakon swój przed żydami, a wobec filosemitów otwierają wstęp i żydom od 4 pokolenia.

Tego jednak, że ktoś może zajrzeć do ustaw zakonu, na które w jego obronie powołują się autorowie „Wiary i Życia", tego się nie spodziewano w redakcji jezuickiego pisma. A może liczono się z tym, że łacina, w której ustawy zakonu są zredagowane, jest nam niedostępna? Nie należy przeciwnika nie doceniać. Myśmy ustawy zakonu Towarzystwa Jezusowego [2]) odcyfrowali i stwierdzamy tutaj, że w całym tym kodeksie nie ma zakazu przyjmowania żydów. W szczególności nie ma ani słowa o Żydach w rozdziale III, mówiącym o przeszkodach do zakonu, ani we wstępie, zawierającym aż 14 pytań, które winny być postawione kandydatowi.

A może paragraf antyżydowski znajduje się w tajnych ustawach zakonu, o których szerszy ogół nie wie? Gdyby tak było, powstałyby trudności z ujawnieniem. Tak czy owak położenie nieprzyjemne.

L. Ziemicki.

Nadesłane

POLSKA RZECZYWISTOŚĆ W ŚWIETLE BIOSOCJOLOGII.

W otaczającym nas świecie nie sposób nie dostrzec mnóstwa organizmów. W większości są one przedmiotem nauk przyrodniczych, a także nauk humanistycznych lub technicznych (ekonomii, socjotechniki). Należy przytym zauważyć, iż w chwili obecnej nauki przyrodnicze za organizm uważają nie tylko jednostkę gatunku (w sensie systematyki), ale i **zespół** (np. roślinny, jak las, łąka, step itp.), nazywany przez niektórych badaczy „asocjacją", lub też „zrzeszeniem". Zagadnieniami wynikającymi z istnienia zespołów zajmuje się jeden z działów ekologii: socjologia [3]).

Zajmijmy się narazie wiadomościami z tych nauk przyrodniczych.

Stosunek zespołu do gatunku układa się w przybliżeniu tak, jak skały do minerału, lub drobiny do atomu. Dla ściślejszego zdefiniowania pojęcia zespołu używa się obecnie określenia: jest to zbiorowisko istot żywych, zajmujące **w całości** pewien płat przestrzeni i posiadające pewien, jedynie sobie właściwy, stały **charakter.** Stwierdzonym zostało, iż zespoły wywierają wpływ na otoczenie, zmieniając nieraz radykalnie warunki zewnętrzne, tworząc sobie swoiste warunki bytowania. Osobniki tego samego zespołu walczą, rywalizują między sobą (zjawisko selekcji, dynamizmu), silniejsze i wyżej zorganizowane zespoły wypierają słabsze (ekspansja, sukcesja), wszystkie zaś elementarne organizmy zespołu współżyją ze sobą, oddziaływując na siebie i wykazując ścisłą współzależność (biocenoza).

Gdy zbiorowisko nie posiada cech stałości charakteru oraz związek i stosunki zależności między poszczególnymi egzemplarzami tego zbiorowiska są luźne, wówczas nadaje mu się miano **agregacji.** Agregacją więc będzie taki twór jak plantacja buraków, łan zboża itp. Agregacje istnieją także w przyrodzie na skutek kataklizmu, lecz wówczas trwają niezbyt długo, stopniowo zmieniając się, aby w końcu stać się zespołami. Najczęściej są tworami ręki ludzkiej. Bez interwencji wiadomych sił te twory sztuczne, jakimi są agregacje z czasem znikłyby w drodze sukcesywnego wyparcia ich przez siły przyrody na rzecz zespołów, jako tworów naturalnych, t. zn. silniejszych pod względem żywotności. Między agregacją a zespołem jest ten stosunek, co między pokracznym salonowym pinczerkiem czy pekińczykiem, a wilkiem na wolności. Z chwilą ustąpienia czynnika zewnętrznego, który warunkuje istnienie agregacji, ta ostatnia samorzutnie, stopniowo zmienia się lub ustępuje, pozostawiając w końcu przestrzeń zajętą w całości przez zespół. Ponieważ rzadko się zdarza, aby agregacja znajdowała się na izolowanej wyspie, więc o ile ona ustępuje, to na rzecz sąsiednich zespołów. W wypadkach szczególnych pochodzić może zespół z elementów rodzinnych agregacji, których dostarczyć są w stanie zmajoryzowani dotychczas w agregacji poszczególni komponenci. Ten szczególny wypadek zachodzi wtedy, gdy zaistnieją okoliczności uniemożliwiające ekspansję sąsiednim zespołom i gdy zaczną działać siły umożliwiające rozwój tym elementom zmajoryzowanym, które są w stanie zapewnić budowę zespołu.

Agregacje w porównaniu z zespołami są tworami szczególnie podatnymi na różne epidemie i inwazje szkodników. Utrzymywanie agregacyj przy życiu jest przedmiotem specjalnych nauk (np. agregacyj roślinnych — agronomia). Agregacja zapewnia i umożliwia egzystencję swoim twórcom.

Nakreślone wyżej w lapidarnym ujęciu zasadnicze wiadomości z zakresu nauki o zbiorowiskach wystarczą dla wyrobienia sobie intuicyjnego pojęcia na temat różnicy między zespołem a agre-

[1]) Te i inne szczegóły patrz: „Monumenta Ignatiana" 1903—1919 15 tom. oraz „Macht und Geheimnis der Jesuiten", Fülöp - Miller, r. 1929 .

[2]) Patrz „Constitutiones cum declarationibus", wyd. Paryż 1845, według edycji praskiej.

[3]) Zarówno ekologia, jak i jej dział socjologia są naukami przyrodniczymi.

gacją. Wiadomości i pojęcia te są przydatne dla zrozumienia życia zbiorowisk ludzkich *).

Z tej perspektywy zbiorowiska ludzkie naszego globu w chwili obecnej przedstawiają się bardzo różnie. Zdaje się, że do zespołu zbliża się naród japoński, do agregacji przynajmniej niektóre części Ameryki. Ziemie Państwa Polskiego w obecnej fazie przedstawiałyby się jako mozaika dwu zbiorowisk: **agregacji słowiańskiej**, zamieszkującej płaty wolne od **zespołu żydowskiego**, usadowionego na wyspach miejskich między płatami. Podobna sytuacja istnieje również na innej części naszego globu np. w Południowej Afryce, gdzie istnieje mozaika dwu zbiorowisk, **agregacji murzyńskiej**, zamieszkującej wolne płaty od **zespołu anglosaskiego**, usadowionego na wyspach miejskich między płatami. Odsetek żydów w Państwie polskim nie wiele jest różny od odsetka anglosasów w Afryce Południowej!

Mimo stosunkowo mniejszej liczebności, rój rozproszonych wysp żydowskich w Państwie polskim ma cechy zespołu z powodu silnego związku między sobą wszystkich komponentów, i to związku nie tylko natury mechanicznej, lecz psychicznej itp. (Rozproszenie zresztą jest pozorne, gdyż żydzi nawet z odległych miast częściej kontaktują ze sobą, niż Słowianie w obrębie jednego domu). Natomiast nieciągłe tło odpowiada dokładnie pojęciu agregacji będąc zbiorowiskiem luźnie ze sobą związanych jednostek, psychicznie i faktycznie od siebie izolowanych. Dalej dlatego, iż jest tworem sztucznym, w tym sensie, że bez ingerencji świadomych sił zewnętrznych nie istniałoby jako agregacja i zmieniłoby się sukcesywnie w zespół pełny. Agregacja ta, zresztą tak jak każda inna, zapewnia egzystencję swoim twórcom...

W życiu zbiorowisk ludzkich, poza agregacją i zespołem należy wyróżnić jeszcze jeden twór, mianowicie **organizację**. Organizacja, podobnie jak zespół, jest organizmem. Różnią zaś się zasadniczo tym, że organizacja posiada **świadomość** istnienia i celu, przynajmniej w organach kierowniczych, podczas gdy o świadomości i celowości w zespole nie może być mowy. Niemniej jednak każdy zespół może być jednocześnie organizacją, lecz nie każda organizacja może być zespołem. Zespół żydowski naprzykład jest jednocześnie organizacją, gdyż każdy komponent tego zespołu jest jednocześnie członkiem organizacji żydostwa.

Przejście od zespołu do agregacji jest degradacją zbiorowiska, ponieważ proces ten przez rozbijanie zbiorowiska na plejadę izolowanych jednostek w drodze pozbawienia ich wiążących je elementów, jest wstępem do likwidacji zbiorowiska. Przejście natomiast z zespołu pierwotnego do zespołu - organizacji jest postępem (z punktu widzenia interesu zbiorowiska), gdyż w zespół wiążące komponentów elementy pozostają nienaruszone, a organa kierownicze i za nimi reszta komponentów nabywają świadomości istnienia zespołu, co zatym idzie działają w celu określonym dla swojego wyłącznie dobra.

Znajomość powyższych zjawisk każe przypuszczać, że skoro agregacja może stać się zespołem, po ustąpieniu tych czynników zewnętrznych, które działają degradująco, zatym jest możliwe przejście bezpośrednie od agregacji do zespołu-organizacji, ponieważ rozszerzanie się w zbiorowisku świadomości swego istnienia nie tylko nie stoi w sprzeczności z ewolucją, polegającą na wytwarzaniu się elementów łączących komponentów, lecz przeciwnie wspomaga te elementy i jednym z nich się staje.

Dotychczasowe rozważania świadczą, iż nic nie stoi na przeszkodzie w posługiwaniu się w zagadnieniach z zakresu historii, kultury, sztuki, ekonomii czy polityki pojęciami zapożyczonymi z nauk przyrodniczych. Dla uzmysłowienia klasyfikacji zbiorowisk ludzkich, opartej na wyżej nakreslonych zasadach, niech służy następujący schemat *):

Cechy	Zbiorowiska			
		organizmy		
	agregacja	zespół	zespół organizacja	organizacja
przestrzeń w całości	+	+	+	—
stały własny charakter	—	+	+	+
świadomość istnienia	—	—	+	+

Organizacja jest więc pojęciem tego samego rzędu co zespół, nie jest wszakże zbiorowiskiem.

Zespół, zespół-organizacja i organizacja są organizmami z powodów następujących: Warunkami istnienia każdego rzeczywistego, więc żywego organizmu są głównie dwie cechy: 1) urządzenie zapewniające zgodne (harmonijne) współdziałanie **wszystkich** elementów (np. t. zw. organów), co w sumie umożliwia osiągnięcie konsekwencji i jednolitości w postępowaniu, jak również pozwala organizmowi nie tylko egzystować ale i rozwijać się (jednostkowo i rodowo) i ekspansować; 2) rozgraniczenie zakresów działania każdego elementu (organu), czyli więc ustalenie niejako „kompetencji" każdego narządu. Im organizm stoi na wyższym szczeblu rozwoju, tym cechy te są widoczniejsze, współdziałanie organów ściślejsze, zaś rozgraniczenie „kompetencji" większe. Natomiast agregacja, jako twór pozbawiony stałego charakteru, świadomości i urządzeń, zapewniających zgodne współdziałanie komponentów, nie jest organizmem, lecz tylko zbiorowiskiem izolowanych jednostek, więc zbiorowiskiem niezorganizowanym.

Na tle tych analogij jaskrawo bije w oczy tragizm losów narodu słowiańskiego, zamieszkującego ziemie Państwa Polskiego. Naród ten spadł do rzędu agregacyj. Że tak jest, czyż trzeba tego dowodzić? Narodowi temu brak charakteru pol-

*) Na inne podobieństwa zbiorowisk ludzkich do organizmów świata ożywionego zwróciło zresztą dawno uwagę wielu ekonomistów.

*) Znak + wskazuje obecność cechy, znak —, jej nieobecność.

skiego. Brak stałego swoistego charakteru jest właśnie powodem wynaradawiania się naszych mas np. w Ameryce, w przeciwieństwie do żydów, japończyków itp.. Właściwie pozostała dla ogółu tylko mowa i strzępy wspomnień o Popielidach, Piastach i poległych Pobratymcach Lutykach, Obodrydach, Wilkach.

A fakt działania w zbiorowisku polskim świadomej swych celów siły, która urabia całkowicie postawę zbiorowiska wobec otaczającego świata, kształtuje charaktery komponentów, fakt istnienia organu którego cele stoją w sprzeczności z celami zbiorowiska, czyż nie przekreśla postulatu należytej organizacji? Siłą tą to duchowy semityzm — chrześcijaństwo, organem politycznym — kościół.

Świadomość istnienia zbiorowiska w polskiej agregacji jest mniejsza, niż wymaga się od zespołu - organizacji. Na świadomość składa się nie tylko poczucie wyraźnej odrębności (czego brak również), lecz również poczucie wartości i wyższości, wspólności celów oraz obecności głębokiej, oryginalnej, własnej tradycji. Świadomość istnienia przynależności do polskiego zbiorowiska u jej przeciętnego komponenta jest powierzchowna i odnosi się raczej do terytorialno-administracyjnego położenia, a także języka domowego lub obrządku religijnego.

W obecnej fazie jest stan następujący: Zbiorowisko słowiańskie, zamieszkujące ziemie Państwa Polskiego wykazuje: 1) brak stałego, własnego charakteru, 2) zbyt powierzchowną świadomość przeciętnego komponenta przynależności do zbiorowości, 3) **obecność sił, nie będących organami** zbiorowiska, **decydujących** jednak o jego fizjonomii duchowej, a nie współdziałającego dla interesu zbiorowości, lecz dla celów kosmopolitycznych. Łącznie kwalifikuje to polskie zbiorowisko do rzędu **agregacji.**

Prace Giertycha i Morawskiego biorąc skutek za przyczynę dowodzą, że przyczyną upadku Polski w XVIII w. była działalność tajnych związków. Oczywicie można domyślić się tej działalności i dokumentami ją udowodnić, lecz hipoteza ta pozostanie **bez praktycznego znaczenia,** gdy nie stwierdzi się, iż działalność tajnych związków legitymujących się ideami kosmopolitycznymi, humanitarnymi, pacyfistycznymi, altruistycznymi, **nie może dać rezultatu w społeczeństwie do tego nie przygotowanym nauką chrześcijańską.** Chrześcijaństwo jest siłą warunkującą istnienie tej agregacji, która — jak o tym była już mowa — z natury rzeczy podatna jest na wszelkie epidemie. Żydzi, tajne związki to były właśnie epidemie zbiorowiska polskiego, — lecz epidemie to skutki, przyczyną jest chrześcijaństwo. Nie bierzmy skutków za przyczynę.

Rezultatem powyższych rozważań, przeprowadzonych na drodze stwierdzenia uderzających analogii z zakresu biosocjologii i zjawisk występujących w zbiorowiskach ludzkich jest wniosek, całkowicie potwierdzający słuszność rozwijanych przez Zadrugę sformułowań i to zarówno negatywnych, jak i pozytywnych.

Sławomir Łada
Rozwadów

L i s t

Do redakcji „Zadrugi"

Kilka miesięcy temu nabyłem w księgarni przypadkowo zauważony numer nieznanej mi „Zadrugi". Był to numer styczniowy; wywarł na mnie ogromne wrażenie, więcej niż tylko wrażenie, był dla mnie prawdziwym przeżyciem. Znalazłem nagle wyraz dla swoich niesformułowanych jeszcze należycie poglądów, choć już wtedy bardzo bliskich tym, które reprezentuje „Zadruga".

Byłem wtedy na rozdrożu. Nie mogłem swego poczucia narodowego pogodzić z kościołem. Pojęcie narodowiec to polak-katolik, odstręczało mnie od tego, do czego ciągła mnie dusza, po rozczarowaniach idei międzynarodowych, ogólnoludzkich, żydowskiego pochodzenia. Przez jakiś czas zastanawiałem się nawet, czy nie powinienem podporządkować swych buntowniczych poglądów dobru i idei narodowej. I w takiej właśnie chwili przyszła „Zadruga" jak objawienie; spostrzegłem odrazu istotną przyczynę mego odosobnienia i obcości jaką zawsze czułem, stykając się z przejawami naszego skatoliczonego życia. Teraz czuję grunt pod nogami i cały świat przedstawia się mi weselej.

Z uśmiechem wspominam te czasy, kiedy sądząc, że wyrwałem się z matni światopoglądu chrześcijańskiego, wpadłem w jego bratni odcień — „lewy personalizm". Tak szeroko sięgają korzenie płodów ducha żydowskiego! Gdy po latach poznałem jałowość takiego ustosunkowania się do bytu, nie mogłem sobie znaleźć miejsca, zupełnie poczułem się osamotniony. Budząca się we mnie świadomość narodowa, nie pozwoliła się wtłoczyć w ramy przyjęte wśród młodzieży akademickiej, watykańsko-narodowej. Ten brak oparcia o jakiś zdrowy, naturalny światopogląd nie pozwalał mi się ustosunkować do wielu przejawów życia społecznego, narodowego, i dlatego odsuwałem się od niego, trzymając się na uboczu.

Wspomnienie o Leszku Poraj Kuczewskim nasunęło mi myśl, że z pewnością wielu podobnie myślących nie wie o bliskich sobie, pokrewnych duszach, nie wie o nowych orzeźwiających prądach, nie wie o „Zadrudze", a Zadrużanie o sobie. I pomyślałem, że nie jest wszystko jedno, czy kupuję numer „Zadrugi" w kiosku, czy też jestem jej stałym prenumeratorem. Zadrużanie powinni wiedzieć o sobie! Choć jest nas dzisiaj mało, tymbardziej musimy się jednoczyć i organizować, choć narazie tylko przy piśmie. Musimy stworzyć sobie odpowiednie środowisko!

Równocześnie wpłacam na konto czekowe P.K.O. kwotę zł. 9.60, na początkowe numery „Zadrugi" nr. 1 — 10 i tytułem prenumeraty do końca bieżącego roku + 1 zł. na porto.

Z zadrużnym pozdrowieniem

A. K.

Katowice.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

WPan Józef Abr-ski (Newack N. J. U. S. A.)— Dziękujemy za list. Żądane numary wysłaliśmy. Warunki prenumeraty „Zadrugi" w Ameryce na końcu numeru. Zasyłamy pozdrowienia z Polski.

WPan Franciszek Ja-cki (Valatie N. J. U. S. A.). —Prenumeratę otrzymaliśmy, bardzo dziękujemy. Przesyłamy zadrużne pozdrowienia z kraju. Sława.

WPan dr. W. Wo-ko (Wilno). — Z braku miejsca w bieżącym numerze artykuł zmuszeni byliśmy odłożyć do teczki redakcyjnej. Bardzo jesteśmy radzi z zapowiedzi wizyty Pańskiej w W-wie i o ile możliwe prosimy uprzedzić nas o tym. Czekamy. Prosimy przyjąć wyrazy poważania.

WPan Collen Ko-dziej (Brześć n B.). — List z artykułem otrzymaliśmy. Dziękujemy. Zadrużne pozdrowienia. Sława.

WPan Bogusław De-ak (Stryj). Akcja pokojowa jest nam znana w całej rozciągłości. Bardzo dużo na ten temat rozpisywała się prasa zagraniczna, zwłaszcza francuska i angielska. Być może, że poruszymy ją w następnym numerze. Dziękujemy za informacje i podane adresy. Proszę przyjąć wyrazy poważania.

WPan Jan Ra-cki (Kowel). Artykuły nadesłane nie zamieścimy. Zagadnienia poruszone wykraczają całkowicie poza ramy naszych zainteresowań. Z poważaniem.

WPan Michał Śm-cki (Gdynia). Dziękujemy za miły list. Cieszymy się z nowego prenumeratora. Podczas pobytu w Warszawie prosimy nas odwiedzić w redakcji. Pozdrowienia.

WPan Stanisław Mi-ski (Lublin). Podziękowania za gorliwą akcję zjednywania prenumeratorów. „Heroiczną" wysyłamy. Pieniądze otrzymaliśmy. Dziękujemy. Sława.

WPan Henryk Pi-ski (Wilno). Nadesłanych materiałów nie zamieściliśmy ze względów cenzuralnych. Przesyłamy pozdrowienia.

WPan Robert M-da (Toruń). Z następnym numerem zaczynamy intensywny wykład naszych sformułowań pozytywnych, które obejmujemy terminem mitu zadrużnego. Chętnie nawiążemy ściślejszy kontakt. Dziękujemy za akcję zjednywania prenumeratorów. Numery okazowe pod wskazane adresy wysłaliśmy. Zadrużne pozdrowienia. Sława.

TREŚĆ NUMERU:

Próby zepchnięcia Sławii na zgubne tory ■ Istota problemu słowiańskiego ■ Naród upadł bo mu skradziono duszę – Karol Zbyszewski w labiryncie świadomości polskiej ■ Człowiek charakteru i czynu ■ U podstaw światopoglądu ■ Hymn do Miecza ■ Oblicze współczesnej poezji ■ Jeszcze o odrodzeniu słowiańskim ■ Towarzystwo Jezusowe interesuje się »Zadrugą« ■ Polska rzeczywistość w świetle biosocjologii.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA. ul. WSPÓLNA 47a m. 4, TEL. 936-82

Godziny dyżurów: w każdą środę w godz. 19 — 20. Wpłaty na konto czekowe P.K.O. Nr. 15.602 oraz Pocztowe konto rozrachunkowe 183. **Warunki prenumeraty:** Kwartalnie zł 1.50 – Półrocznie zł 3.00

Redaktor: JÓZEF GRZANKA

Zakł. Graf. B. Pardecki i S-ka, W-wa, tel. 5-22-05.